Wielce Szanowna Pani Profesor!

Przesyłam Pani Profesor swoje wspomnienia z okresu tajnego nauczania - do ew. wykorzystania wspomnienia te pisałem w trudnych warunkach przy braku możliwości skupienia się i odtworzenia dokładnego szczegółów, pora tym - przecież minęło już tyle lat! Chciałbym jednak, by młode pokolenia poznały historię Polski i narodu w okresie okupacji, by wyciągnęły z tego właściwe wnioski.

Z głębokim szacunkiem

Lech Kowalski

B-stok, dnia 6.IX.1970 r.

43 2

Szanowna Pani Profesor!

Otrzymałem list od p. Ewy Kazimierskiej, lecz, widzieli, niewiele nazwisk i ona pomięsła. W niektórych wsiach ucieli nauczyciele-autorzy, którzy czynili to raczej dla korzyści materialnych i o takich nie warto wspominać. A oto nazwiska nauczycieli zasługujących na wyróżnienie; pracowali oni w moim sąsiedztwie:

Ewa Kazimierska, Klukowo, obecnie zam. w Klukowie
Leon Komasiński, Klukowo, zginął w obozie
Wiktoria Siewczyk, Zabłudze, brak adresu, jeżeli żyje, to ma ok. 75 lat
Honorata Borkiewicz, Zabłudze, obecnie prawdopodobnie w Pionkach lub Radomiu
Apolonia Kostro, Piątki Basie, obecnie Wojny Krupy, pow. Wysokie Maz.
Jan Króblewski, Wynowski Kość., ojciec Janiny i Karin., zmarł

Wszyscy oni pracowali w gminie Klukowo, gdzie i ja prowadziłem tajne nauczanie z żoną i p. Fotwińską

Życzę Pani Profesor sukcesów w wielkiej społecznej pracy i dużo zdrowia

Z szacunkiem

Leon Kodeń

B-stok, dnia 5.XI.1970r.

Drogie Szanowna Pani Profesor!

Serdecznie dziękuję za pozytywną opinię moich wspomnień z okresu tajnego nauczania i cieszę się, że będą one wykorzystane do wielkiej pracy Pani Profesor. Nie możemy wraz zapomnieć naszej postawy w okresie okupacji, musimy tę historię zapisać i przekazać młodym, aby na przykładach ich rodziców i dziadów wychowywała się na patriotów kochających Ojczyznę. Zasługa Pani Profesor w tworzeniu dzieła jest ogromna i zasługuje na najwyższe uznanie.

Odnośnie danych o mojej pracy – to wygląda to następująco: przez cały okres okupacji prowadziłem nauczanie na poziomie szkoły podstawowej i średniej ogólnokształcącej. Może obrazowo przedstawi to tabelka:

ok. nr.	Ilość dzieci w nr. powsz.	Il. młodz. w pracy.	Rok	Nauczyciele	Pseudonimy
941/42	40-50	10	Piątki Grzegorz Piątki Religi	Kłodecki Leon Kłodecka Regina	Szymanowski Leon Szymanowska Regina
942/43	50-60	12	" Kolonie różnych wsi	– " –	– " –
943/44	50-60	12	" Kolonie różnych wsi	– " – Sotwińska Teodozja	– " – —

Ilość uczniów była płynna, część dzieci uczyła się w okresie rolnego od intensywnych prac w polu. Większa część uczyła się prawie systematycznie przez cały rok szkolny.

Nazwiska nauczycieli prowadzących tajne nauczanie w szczególności wiadomo pamiętam częściowo i pisałem o nich we wspomnieniach. Znałem ich więcej, ale zapomniałem. Napisałem do Kol.

Ewy Kazimierskiej, która jest na rencie, by przypominała mi naszych wspólnych znajomych, ale dotychczas nie mam odpowiedzi. Kiedy otrzymam od niej list, natychmiast do Pani Profesor go prześlę. Chcę tu też zaznaczyć, że nie wszystkie wsie były w znośnym położeniu posiadania nauczyciela, a w niektórych nauki prowadzili ludzie do tego zupełnie nie przygotowani. Wspomniałem o nauczycielskiej rodzinie Wróblewskich. Otóż Janina i Kazimierz pracują obecnie w Ełku - to Wróblewscy, o których pisałem. Zasłużonym, zacnym nauczycielem był ich ojciec, którego uważam za wzór pedagoga, patrioty i człowieka.

Serdecznie Panią Profesor pozdrawiam
z głębokim szacunkiem

Leon Kłodecki

B-stok, 28. X. 1970 r.

I - W s t ę p

Przede mną rozpościerała się wieś. Tak, to napewno ta, która była celem mojej wędrówki. Wieś Piętki-Gręski nie różniła się od innych w tych stronach. Była duża, liczyła około czterdziestu kominów, dachy domów i stodół kryte słomą, tylko kilka - dachówką. Obraz, jaki ujrzałem po wyjściu z lasu odpowiadał temu, który w mojej wyobraźni narysowała Gienia; jej to rodzice mieszkający tutaj mieli stać się moją ostoją.
Około kilometra obok leżała gminna wieś Klukowo. Na małym wzniesieniu stał kościółek, obok plebania, w której ulokował się posterunek żandarmerii. A może Gienia miała rację wnioskując, że tu pod bokiem Niemców będzie bezpieczniej ? Napewno Niemcy zakładali, że ruch oporu rozwijać się będzie zdala od nich i dlatego zostawią w spokoju wsie pobliskie.

Jak mnie przyjmą krewni mojej żony ? Bałem się dalszej ucieczki, byłem już zmęczony. Wciąż miałem przed oczyma gestapowców,żandarmów i rodaków, którzy poszli na służbę niemiecką: "granatowych" i tych w zielonych mundurach polskiego wojska, tworzących "Hilfspolizei" i policjantów - żydów, którzy gorliwie pełnili swoje wisielcze funkcje w Getcie Warszawskim.
Na zawsze pozostaną mi w pamięci tamte, straszne dni. Stałem przed sądem gestapo. Trudno mi było stać. Byłem granatowy, cały w sińcach. Bili mnie dwaj potężni gestapowcy na zmianę, zdjęli marynarki. Zdaje mi się, że nic nie czułem. Po krótkiej rozprawie, na której ja nie miałem nic do powiedzenia, a kilkudziesięciu ustawionych po przeciwnej stronie "sądu" świadków - na pytanie "czy był komunistą" - odpowiadała chórem "tak" - zapadł wyrok: "Tod".

A potem ucieczka, znów Niemcy i znów ucieczka i znów żandarmi. Jak makabryczny sen. Niewiarygodne. Seria skierowana we mnie z odległości kilku kroków, noc w chlewie wśród świń, Vernichtungslager Bogusze - dziesiątki tysięcy jeńców rozstrzeliwanych z wykalkulowaną regularnością, jak wykonywanie normalnego planu pracy i głód prowadzący do ludożerstwa i wielka sensacja w tym obozie - syn Stalina, kapitan

artylerii Dżugaszwilli,którego Niemcy mieli podobno nadzieję zamienić na kilku przebywających w niewoli radzieckiej niemieckich generałów. Jak ścigane zwierzę kierowane instynktem - uciekałem i uciekałem. Życie było zbyt okrutne, by go polubić i aby go chronić. A może lepiej byłoby to życie przerwać ? A może przyda się jeszcze ? Ale wszędzie widać było tylko klęskę, pogrom, zwycięstwo zbrodni, zezwierzęcenie. Polacy poszli na służbę wroga, moi koledzy prowadzili mnie pod karabinami do Gestapo. "Stefan, Stachu, puśćcie mnie, ja wam ucieknę". "Nie próbuj - zastrzelimy - taki mamy rozkaz". Trudno było przeżyć widok bestialsko mordowanych Żydów, Rosjan, Polaków. Zwyczajnie - żelaznym łomem, butelkami od piwa, butami, zrzucaniem na ulicę z czwartego piętra, zasypywanie żywcem, kamienowanie. Żadne zwierzę nie byłoby tak okrutne, jak człowiek. I wtedy właśnie działały instynkty. Zwierzęcy instynkt kazał mi uciekać. A odruchy w tym stanie są błyskawiczne i bezbłędne. Potem ucieczka przez granicę, pod Łomżą. Pomógł mi kolega, ale kiedy przechodziliśmy obok posterunku żandarmerii zażądał ode mnie zegarka. A tak na ten zegarek liczyłem, to był mój cały majątek.

Warszawa pozostawiła we mnie coś, co możnaby potraktować jak odrębne życie, długie jak wieczność, a przecież to trwało zaledwie kilka tygodni. Spanie na podłodze, miliony pluskiew, jedynie pożywienie - zupa z kluskami z kasztanowej mąki. Bezskuteczne poszukiwania towarzyszy, z którymi jak się później okazało - ocierałem się kilkakrotnie. Jak potoczyłoby się moje życie, gdybym spotkał choć jednego z nich? Spotkałem, owszem, ale nie tych, których szukałem. Ktoś mi z tyłu położył rękę na ramieniu: "Jest pan aresztowany". A więc to koniec. Odwróciłem się. Ujrzałem roześmianą twarz Jurka Michalskiego, kolegi z ławy szkolnej, "Ach ty skurczybyku". Jurek powiedział mi: "Leon, uciekaj z Warszawy, jesteś podobny do ważnego gestapowca, nasi cię zlikwidują". Zrozumiałem wtedy, dlaczego dwaj żandarmi, którzy szli naprzeciwko mnie na ulicy Szarej zasalutowali mi.

Później jadąc tramwajem z Bródna spotkałem "Weldemarasa" znajomego mi z przed wojny policjanta, wsławionego wśród nas komunistów z okrucieństwa podczas badań.

Poznał mnie natychmiast - Bał się mnie widocznie, skierował się do przedziału "Nur fur Deutsche". Tramwajarz - patriota - "dodał gazu". Czułem to. Seria z automatów. Upadłem. Poderwałem się, przeskoczyłem mur i znalazłem się na cmentarzu. Staruszka wskazała mi grób rodzinny, w którym przesiedziałem dzień, noc i dzień - długie wieki.
Przynosiła mi w glinianym garnuszku zupę, mówiła, że to od zakonnic. Potem miałem się dowiedzieć, że naoczni świadkowie powiedzieli mojej żonie i matce jak zginąłem, ba, nawet byli na moim pogrzebie.
Warszawa - to straszne obrazy z Getta. Tragedia Żydów, nędza i podłość. Bogaci mówili: "A jeżeli ja mu dam ten złoty, to go uratuje? To on pożyje ten jeden dzień dłużej". Okrutni też byli żydowscy policjanci dla Żydów, szczególnie tych najbiedniejszych.

Nigdy nie potrafię odwdzięczyć się Romie Dudyczowej, mojej koleżance z ławy szkolnej, która okazała się w tych trudnych chwilach prawdziwym dla mnie przyjacielem. Odżywiła mnie, pocieszyła, dała pieniądze na bilet. Opuściłem Warszawę. Może w samą porę. Wszak byłem bez dokumentów, ścigany, osamotniony, w każdej sekundzie narażony na śmierć.

Następny mój etap - to Jadowo, gdzie w szpitalu pracowała kuzynka mojej żony. Znalazłem tam schronienie na kilka dni. Ale i tu trafiłem na obławę. Gienia dała mi adres swoich rodziców, do których miałem się udać, by tam znaleźć schronienie. Nie było to proste. Na granicy znów zostałem schwytany. Byłem dla strażników podejrzany, bo nie miałem przy sobie towaru, nie byłem "szmuglerem". Zatrzymali mnie do dyspozycji gestapo. W szopie, w której zostałem zamknięty - nie byłem sam. Byli tam "zorganizowani". Nocą przez okno uciekliśmy, unieszkodliwiając na zawsze wartownika. Długa tułaczka nocami.

I oto stałem przed wsią Piętki-Grąski. A więc może tu znajdę spokojną przystań ? O, wsi spokojna, sprawiedliwa, nie zakłamana ! O, ludzie uczciwi, spracowani, wiekami bici i wyzyskiwani ! Ale to tak jest w poezji. Później miałem się przekonać, że rzeczywistość jest inna, realna, daleka od romantyzmu.

A więc tu miałem spędzić czas wojny i okupacji ?
Ja marzący o wielkim czynie, o bohaterstwie ?

W jakiejkolwiek znajdę się sytuacji - próżnować nie będę. Należę do tych, którzy wybrali walkę. Czy walka z wrogiem - to tylko walka z bronią w ręku ? Nie, nie tylko. Wróg planuje nas zniszczyć. Biologicznie wszak narodu nie zniszczy. Ale wróg jest "mądry"; chce zniszczyć siłę kierowniczą narodu, partię, inteligencję, wszystkich, którzy zechcą stawić mu opór. A więc walczyć z wrogiem - to bić wroga i walczyć o duszę całego narodu, o jego świadomość, o jego światłość, o wolność w szerokim zrozumieniu tego słowa.

Walka z bronią byłaby łatwiejsza: w grupie, z ukrycia, mając do dyspozycji karabin i dyscyplinę i dowódcę, myślącego za wszystkich... Mnie czekała walka słowem, argumentem, przykładem...

II. W Piętkach-Greskach

Ilekroć rozmawiam z kimkolwiek, kogo się rzadko widuje zastanawiam się czy uśmiech na jego twarzy jest szczery, czy też wymuszony, ewentualnie, czy się coś za nim nie kryje. Uśmiech to objaw kultury w ludzkim współżyciu.

Kiedy znalazłem się na podwórku szlacheckiej rodziny Siekierków, kilka krzątających się tam osób przestało pracować, następnie kobiety zaczęły wolno zbliżać się do mnie. Powoli nadeszli też mężczyźni.

"Jestem mężem Reginy, idę z Jadowa, od Gieni". I wtedy obserwowałem uśmiech na twarzach kobiet. Podczas całej rozmowy miałem wrażenie, że wszyscy oczekują mojego odejścia. Tak, byłem pewny, że nikt by mnie nie zatrzymał, gdybym zaczął się żegnać. Nawet nie zapytanoby mnie, dokąd pójdę.

"Mam dużo czasu, trochę Wam pomogę".
Mieszkanie składało się z izby o glinianej, nierównej podłodze i alkierzyka bez światła dziennego. Mieszkało tu pięć osób. Ojciec staruszek, matka i trzy córki.

"Ja się prześpię w stodole".

I tak rozpoczął się nowy etap mojego życia. Było co robić. Stodoła pełna zboża, trzeba było to zmłócić, codzień rąbać mokre drzewo, codzień rznąć sieczkę. Późnojesienne dni były krótkie. Długie wieczory - w izbie oświetlonej naftową lampą nr 5 siedzieliśmy na ławach stojących przy ścianach. Gospodarz był sołtysem, często były u niego zebrania.
Doszła mi nowa funkcja - pisanie. Było dużo pisania, obliczeń, sprawozdań.

Jankę zacząłem uczyć języka niemieckiego i łaciny.
Później znalazła się Janki koleżanka, potem druga, trzecia... zebrała się grupa jedenastoosobowa. Wszyscy byli absolwentami szkoły podstawowej. I tak powstał komplet na poziomie szkoły średniej.
Programem były podręczniki. Znalazło się ich trochę, przeważnie po jednym egzemplarzu.
O nauczycielu dowiedziano się szybko. We wsi było kilkadziesięcioro dzieci w wieku szkoły podstawowej. Dzieci muszą się uczyć. Rodzice chcieli uczyć dzieci "czytania, pisania i rachowania", ja chciałem ponadto, a właściwie przede wszystkim walczyć o cel zasadniczy, o świadomość, o postawę i dzieci i ich rodziców.
Maleńki był teren mojego działania, wierzyłem jednak, że przykładem zarażę innych, że może każda wieś ma swojego opiekuna, który nie pozwoli na bierne poddanie się wrogowi.

W ciągu całego czasu mojego ukrywania się nazywałem się "Jan Ostrowski". Było to imię i nazwisko jednego z moich przyjaciół z Wilna. Ale to nazwisko było tu obce, takiego nie było w okolicy, trzeba było dobrać sobie nazwisko ochronne, takie, jakie się tu spotykało.

Wiele w życiu miałem przypadków, może dzięki niektórym pozostałem przy życiu. I tu z pomocą przyszedł przypadek. Na jedno z zebrań przyszedł z Klukowa sekretarz gminy Aleksander Starczewski. Tak, to ten nieodżałowanej pamięci Oleś, który następnie stał się moim przyjacielem. Wiedział jaka jest moja rola we wsi, wiedział, jaką mogę spełniać w okresie okupacji.

W czasie pierwszej rozmowy, kiedy mi powiedział: panie... dopowiedziałem z ukłonem "Szymanowski". I zostałem Szymanowskim. Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać, że przydałby mi się dowód na to nazwisko. Już za kilka dni otrzymałem tymczasowe zaświadczenie tożsamości.

Drżałem ze zdenerwowania, kiedy następnie wydawano mi "Personalausweis". Żandarmi fotografowali nas z umieszczonym nad głową numerem, brali odciski palców, kazali następnie w dwóch miejscach podpisać. Nie mogłem pomylić się, musiałem pamiętać, że jako "Bauer" powinienem podpisywać drżącą, spracowaną ręką koślawymi literami nazwisko, które stało się moim od tak niedawna. A żandarm patrzał. Personalausweis, który wówczas otrzymałem chowam do dziś jako relikt przypominający mi, że to nie był sen, a była to okrutna rzeczywistość.

Pewnego wieczora zaprosili mnie do siebie sąsiedzi, Szepietowscy. Do dziś pamiętam smak chleba, słoniny, kiszonej kapusty, polanej gorącym tłuszczem i samogonki, zimnej, w szklaneczkach, pokrytych od zimnej wódki kropelkami rosy, jakby szronem.
Było mi błogo, odprężyły się nerwy. Alkoholu nie piłem w ogóle, podziałał na mnie błyskawicznie. Wtedy po raz pierwszy przekonałem się jak szybko można otrzeźwieć. Kiedy Halinka wpadła do domu i krzyknęła "żandarmi" - otrzeźwieliśmy wszyscy.
I znów wrócił strach i instynkt samoobrony. Nie wolno mi było ulegać złudzeniom, trzeba było zawsze zachować czujność.
Tym razem żandarmi przejechali obok, pojechali dalej na swojej bryczce. Wróciłem zza stodoły. Dwaj bracia Szepietowscy, Władysław i Józef mieli razem chyba dziesięcioro dzieci, z tego pięcioro powinno było się uczyć. I właśnie o to prosili. Zgodziłem się. Ale już za kilka dni przyszli następni. Wykorzystałem jedno z zebrań, poinformowałem wszystkich, że będą uczyć dzieci, ale trzeba to zrobić w sposób zorganizowany. Nie będę w stanie uczyć dzieci indywidualnie.

We wsi, na skraju stał na wpół rozwalony, pusty dom. Obejrzałem go, postanowiłem jedną izbę odremontować. Zmobilizowałem grupę starszych chłopców, byli moimi pomocnikami.

Trzeba było wymurować rozwaloną ścianę, uszczelnić drzwi, okna, zreperować podłogę, przeciekający strop trzeba było czymś nakryć. Poradzono nagrabić w lesie kołek, pokryć ich grubą warstwą sufit, również kołkami "ogacić" przewiewną, dziurawą ścianę. Dostaliśmy furmankę i pojechaliśmy do pobliskiego lasu. Notowałem, ile kto "płacht" nagrabił i przyniósł do furmanki. Najwięcej nosił Witek. Brawo, Witek ! Okazało się, że Witek nosił nagrabione uprzednio kołki przez jednego z gospodarzy. Witek nie tylko nosił cudze kołki, ale następnie poszedł do ich właściciela i powiedział mu, że pan nauczyciel kazał mu to robić.

I znów przypadek zdarzył, że pani Piętczyna zapytała pana Niemyjskiego o przydomku "Graf", dokąd idzie. "A idę - mówi Graf - do żandarmerii zdenuncjować nauczyciela, bo zabrał nagrabione przeze mnie kołki". Pani Piętczyna, przerażona decyzją staruszka, zaprosiła go na herbatkę i długimi perswazjami przekonała, że tam iść nie powinien.

Rozpocząłem systematyczną naukę. Zgłosiło się początkowo około trzydzieścioro dzieci, następnie ich liczba rosła, powiększała się o dzieci z sąsiednich wsi i kolonii - Piętki-Szeligi, Piętki Basie. Liczba urosła do pięćdziesięciu. Zorganizowałem grupy według klas, ustaliłem rozkład. I tu także programem były podręczniki. Były różne - i przedwojenne i radzieckie. Radzieckie były dobre do matematyki i właśnie do tego przedmiotu korzystałem tylko z takich podręczników. Na początku zajęć nauczyłem dzieci i młodzież zachowania się w wypadku zagrożenia ze strony Niemców, uczyłem konspiracji. W czasie zajęć były pełnione dyżury, jedno z dzieci obserwowało drogę do Klukowa. Żandarmi przejeżdżali co pewien czas przez wieś, nigdy nie wiadomo było czy w naszej wsi zatrzymają się, czy pojadą dalej. Jeżeli więc ukazali się na drodze, natychmiast dziatwa rozbiegała się do domów, a ja z przygotowanym z góry narzędziem pracy, a więc grabiami, kosą lub koszem - szedłem w pole, lub zza węgła obserwowałem groźne sylwetki.

W nauczaniu szczególny nacisk kładłem na wychowanie patriotyczne. Czytałem głośno fragmenty "Pana Tadeusza", "Trylogii", "Krzyżaków", dzieci uczyły się na pamięć wierszy Marii Konopnickiej.

Uczyłem je geografii, mocno też akcentowałem historię Polski. Starałem się rozmiłować młodzież w tym wszystkim, co uczuciowo wiązało z Ojczyzną. I jednocześnie wpajałem nienawiść do wroga, do faszyzmu, do hitleryzmu szczególnie, malowałem przed młodzieżą i dziećmi obraz narodu polskiego, będącego w niewoli niemieckiej, na służbie "Herrenvolku".
Zdawałem sprawę z tego, że sieję ziarno, które napewno wykiełkuje.

Na pierwszym zebraniu rodzicielskim uzgodniliśmy, że będę na wyżywieniu poszczególnych gospodarzy, kolejno u każdego korzystać będę z posiłków tyle dni, ile ich dzieci chodziło do szkoły. Wypadało więc nie częściej niż raz w miesiącu być u tego samego rolnika. Prosiłem rodziców, by nie czynili sobie ambarasu i częstowali mnie tym wyżywieniem, jakie jedli sami. Mimo to, rodzice najczęściej gościli mnie uroczyście, starali się przygotować najlepsze potrawy, jakie w owych warunkach mogli przyrządzić. Zdarzało się też, że zgodnie z moim życzeniem, częstowali mnie tym, co mieli. Nie zawsze mogłem jednak to jeść. Trudno mi było przełknąć zimne "pyzy", polane własnej produkcji olejem, czy też pić mleko z muchami. Ludzie ci od wieków przywykli do much - traktowali je jako coś zwykłego. Zgarniali je z glinianego garnka drewnianą łyżką i wyrzucali na podłogę, która w izbie kuchennej najczęściej była gliniana. Ale były to sporadyczne wypadki. Na ogół pobyt nauczyciela u gospodarzy był dla nich wydarzeniem, był precedensem do wyróżnienia się wobec innych, wszak cała wieś wiedziała, co w tym dniu nauczyciel jadł na obiad. We wsi jadło się dwa razy dziennie, raz około południa dziś powiedzielibyśmy śniadaniobiad, drugi, nad wieczorem. Posiłek główny ranny składał się z dwóch potraw - kapusty lub barszczu oraz kaszy z mlekiem, oczywiście do tego ziemniaki.
Rodzina siadała na małych zydelkach wokół ławy, na której stały naczynia, każdy sięgał po zupę i zgrzytając łyżką po glinianej misce, uniósł ją z namaszczeniem do ust, głośno siorbnął i sięgał następnie po kartofle. Jedzono długo, wolno, dużo. Pożywienie nie było treściwe. Ale ja najczęściej jadłem "po miastowemu", obiad był po południu i elegancko podany.
Specjalnie dla mnie pożyczano chleb, zresztą we wsi wiadomo było kto piecze chleb, tam go pożyczano, by oddać po upieczeniu własnego.

Po chleb najczęściej przychodziły dzieci. "Pochwalony - ja za chlebem" - wygłaszało dziecko formułkę i czekało długo przy drzwiach, zanim mu zważono bochenek lub pół na "przezmianie", wadze używanej napewno od setek lat. Każdy miał swój "przezmian" i prawie każdy inaczej określał wagę.

Wieś Piętki jest stara, w niektórych domach znajdują się kamienne narzędzia pracy, a wiele wyrażeń jak i zwyczajów napewno stosowano przed setkami lat. Przyswoiłem sobie słowa, których wcześniej nigdy nie słyszałem: "kryjan" - to dziecko, "krajcaki" - to papucie, "tram" - to belka pod sufitem, na której leżał chleb...

Takie uroczystości jak wesele, pogrzeb i stypa, tłoka, czy odpust - absorbowały ludzi bardziej niż wydarzenia na froncie.

Musiałem to rozumieć, musiałem wrosnąć w to środowisko, wczuć się w jego duszę, musiałem być jednym z nich. Ale byłem samotny, żyłem wewnętrznie ze sobą, ze swoimi myślami, marzeniami, ideami.

Powoli zbliżała się zima, stawało się coraz chłodniej. Całymi nocami trzęsłem się od zimna, niecierpliwie czekałem świtania, chwytałem za cep i młóciłem. Młóciłem zawzięcie, aż słoma kruszyła się na sieczkę. Pewnego razu obudziłem się zasypany śniegiem, którego sporo nawiało poprzez szpary w szczycie stodoły. Dłużej tak spać nie mogłem.

Na podwórku widziałem stary, ogromny, pleciony kosz, przypominający beczkę bez dna. Zamieszkałem w beczce. Odrzuciłem w sąsieku siano, umieściłem tam kosz, wewnątrz umieściłem dwa kije wspierające kosz, jak namiot, rozłożyłem pościel, kosz przykryłem grubą warstwą siana, zrobiłem norę, przez którą dostawałem się do mojego legowiska i spałem jak borsuk.

Koszmarne przeżycia, stałe napięcia nerwowe powodowały bezsenność i utratę apetytu. Poradzono mi pić piołun. Pani Piętczyna nawet sama go przygotowała i dała mi litrową butelkę. Piłem po parę łyków kilka razy dziennie tę biblijną gorycz. Niewiele to pomagało. Wyczulone nerwy wywoływały dziwne, najczęściej straszne sny.

Miałem sny"seryjne", w następną nie śniłem dalszy ciąg snów poprzedniej nocy. Sny odgrywały w moim życiu ważną rolę, poprostu żyłem nimi, czekałem nocy, jak następnej części seryjnego filmu. Czy wierzycie w sny proroce ? Bzdura. Wtedy jednak tak bym nie odpowiedział. To właśnie sen spowodował, że pewnej letniej nocy wyskoczyłem z łóżka, ukryłem się w zbożu, a w chwilę później Niemcy otoczyli dom. Wieśniacy zupełnie poważnie pytali mnie, czy można bić wieprza czy pędzić bezpiecznie samogon, a więc, czy będą we wsi żandarmi.

--- o ---

W dalekim, nieskończenie dalekim, jakby na drugim krańcu świata położonym miasteczku Grajewie pozostawiłem moją duszę i serce. Została tam samotna moja matka i moja żona, najbliższe mi istoty.

Żadne słowa nie określą cierpień mojej matki, kobiety, która całe życie cierpiała. Mój ojciec zmarł pozostawiając matkę z nami, czworgiem dzieci bez środków utrzymania. Dopiero parę lat przed wojną otrzymała po moim ojcu, powstańcu z 1863r, emeryturę, skromną, ledwie wystarczającą na wyżywienie. Ale do tego czasu pracowała ciężko, fizycznie, by nas utrzymać. Czy można opisać rozpacz matki przeżywającej śmierć swoich synów, a moich najukochańszych braci, 24-letniego Romka i 18-letniego Olka. Nie, tego wyrazić słowami nie można. Czy można wyobrazić cierpienia tej świętej kobiety, kiedy dowiedziała się od naocznego świadka o mojej śmierci ? A świadek faktycznie widział, jak Niemcy do mnie strzelali tam na Bródnie, jak upadłem. Swiadek miał okrutną fantazję, był nawet na moim pogrzebie. Czy można wyrazić ból mojej matki, która dowiaduje się także o męczeńskiej śmierci swojej jedynej córki, mojej siostry, skazanej na śmierć w Neubau w Królewcu. Nie dowiedziała się nigdy, że tak Bożena jak i ja cudem śmierci uniknęliśmy, że ją kochamy najczystszą, największą miłością. Ja tu, na wsi, Bożena w Oświęcimiu, gdzie była do końca, zanim nie ewakuowano obozu do Rawensbrück.

Nie umiem opisać mojej rozpaczy i cokolwiek bym próbował o tym powiedzieć, będzie to profanacja mojego najgłębszego uczucia. Moja najukochańsza matka, najświętsza ze wszystkich matek nie żyje ! Skręciłem się jak robak w bólu.

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W BIAŁYMSTOKU 4

Dlaczego los jest taki okrutny ? Dlaczego nie doczekałem chwili, kiedy mógłbym moją matkę posadzić na miękkim fotelu w przestrzennym, dostatnim domu i powiedzieć:"Kochana mamo, jesteśmy wolni. Wolni od wrogów, wolni od nędzy, od wyzysku, od pogardy, od cierpień". Dlaczego nie mogłem jej tego powiedzieć? "Czy usłyszysz mnie teraz, kochana mamo? Tyle chcę Ci powiedzieć ! Patrz, mamo, na swoje dzieci, na wnuków, na ich uśmiech ! Czy jesteś szczęśliwa ?"

"Przysięgam Ci mamo, że będę walczyć o szczęście ludzi, że będę walczyć ze złem, które ludzkość gnębi, z ludźmi, którzy tyle przynieśli nieszczęść, którzy zamęczyli moich braci a Twoich synów, którzy zamęczyli Ciebie mamo ! Pamiętaj,mamo, że kocham Ciebie, że moja miłość do Ciebie przetrwa moje życie."

Tam w Grajewie, pozostała moja żona, która w dniu wybuchu wojny miała otrzymać świadectwo dojrzałości. Ileż ona przeżyła. Aresztowana razem ze mną, skatowana przez gestapowców, sądzona przez sąd doraźny gestapo, więziona, nie znalazła przyjaciół, jakich poznaje się w biedzie. Jej bliskimi byli tylko rodzice, moja matka i ja. I oto teraz kiedy najwięcej powinna cieszyć się młodością, życiem, cierpi. Zostaje wdową. "Die Witwe".

Dziś patrzę na pożółkłe, ledwie czytelne notatki, jakie wtedy pisałem. To przecież listy do Reny, listy, których nigdy nie wysłałem. Listy pełne miłości i rozpaczy. Pisałem i wiersze, nieudolne, ale chciałem w nich wyrazić to, co czułem. Czy mam się ich wstydzić ? Pisałem po polsku i w języku esperanto, by tych nikt wtedy nie zrozumiał.

"Te same kropelki rosy na oknie
Co kiedyś jak perły radośnie lśniły
Dzisiaj zmieniły się chyba stokrotnie
I blask swój cudowny już utraciły.

Dziś są jak łzy gorzkie biednej sieroty
Płynące na martwe ręce matuli
Która nie czuje ni łez ni tęsknoty
I dziecka swego już nie utuli.

Za oknem wiatr śpiewa smętną piosenkę
To znów jak wilk głodny przeraźliwie wyje
I sprawia mi jeszcze boleśniejszą mękę
Która w mej duszy i sercu się kryje.

Gdziekolwiek skieruję swe oczy zmęczone
Skądkolwiek głos jaki wpadnie w me uszy
Wszędy obrazy cierpieniem wieńczone
Wszędy śmierć ciała lub choroba duszy.

Widzę krew braci niewinnie przelaną
I niezliczone szeregi mogił
Co kryją w sobie duszę zbratanę
A które brzozowy krzyżyk ozdobił.

Widzę miliony dzieci obdartych
O bladych jak z wosku twarzyczkach
O mury spalonych domów opartych
Z sinymi rączkami przy pustych koszyczkach.

Słyszę też kobiet i starców modlitwy
Mających nadzieję jedynie w Bogu
Że syn ukochany powróci z bitwy
I ucałują w rodzinnym go progu.

Wszystko to widzę i wszystko słyszę,
Rozumiem ojców, żony, sieroty,
Bo sam cierpieniem i mękami żyję
Znam dobrze smutek i znam ból tęsknoty.

Zły los rozłączył mnie z matką i żoną
A tak je gorąco, nad życie kocham
To one w mym życiu wszak są koroną
To do nich wzdycham i tęsknię i szlocham

O matko moja i żono -

--- o ---

Pewnego listopadowego wieczoru, kiedy jak zwykle siedziałem w swoim kąciku na ławie stojącej przy ścianie, w izbie kuchennej oświetlonej lampką naftową nr 5 ktoś zapukał do drzwi. Nie wierzyłem własnym oczom ! Sen czy jawa ? We drzwiach stała Rena, moja żona, moja biedna dziecina.

W jej oczach malowało się zdziwienie, graniczące z przestrachem. Patrzała na mnie jak zahipnotyzowana. Nie widziała nikogo, nawet się nie przywitała.

Po przyjeździe Reny moje życie, a właściwie nasze życie musiało się zmienić. Nie tylko wewnętrznie. Nie mogliśmy myśleć o rozstaniu. Będziemy dzielić los wspólnie.

Przybycie Reny ludzie potraktowali przychylnie. Przecie i ona mogła uczyć, pomóc mi, sam nie radziłem. Ale i w tej nowej sytuacji trzeba było mieć odpowiednie warunki mieszkaniowe. Ludzie na wsi są praktyczni. Kiedy rodzice uchwalili opłatę od dziecka w wysokości "ćwiartki" żyta, to łatwo było obliczyć, że od pięćdziesięciorga dzieci będzie ponad dwanaście "metrów". To fortuna ! Znalazło się więc kilku gospodarzy, którzy ofiarowali nam mieszkanie. Przecie ten duży zarobek musiał pozostać, tego nie można było zjeść, ani nie wypadało sprzedać.

Zdecydowaliśmy się zamieszkać u państwa Tymińskich. Nigdy tych zacnych ludzi nie zapomnę. Pani Tymińska, czyli pani Walercia uśmiechnięta, lub płacząca, okazywała nam jak matka wiele serca, była uczynna, pomagała, współczuła, pocieszała. A pan Jan, pełen humoru, nawet w trudnych chwilach, rozweselał nas, zresztą wszystkich wokół, swoimi dowcipkami, zabawnymi pomysłami. Panią Walerię często bolała głowa, domagała się proszków od bólu głowy. O proszki było trudno, ale pan Jan zawsze je zdobywał. Pani Walerii po tych proszkach głowa przestawała boleć. Później wyznał mi w tajemnicy, że do papierków po proszkach wsypywał trochę próchna z butwiejących belek w stodole. Ale sugestia działała.

Nasz "apartament" składał się z izdebki o powierzchni około sześciu metrów kwadratowych, podłoga była cementowa, nierówna, pieca nie było, natomiast była płytka kuchenna. Pan Szepietowski dał nam parę desek, pomógł ułożyć podłogę, pożyczył łóżko, ławkę i stołki zrobiłem sam. Państwo Tymińscy byli biednymi rolnikami, posiadali około pięciu hektarów ziemi; mieli dwóch synów, z których jeden był moim uczniem. Nauka poczciwemu Dziuńkowi szła trudno, ale chłopiec był do wszystkiego chętny.

Ich chata, w której znaleźliśmy schronienie - stała na skraju wsi, po przeciwnej stronie od Klukowa, dobrze było stąd uciekać w pole w wypadku "najazdu" Niemców. Wejście do naszego pokoiku było z sieni; kiedy były otwarte drzwi do państwa Tymińskich, nasze drzwi były ich drzwiami zasłonięte, maskowały nasze mieszkanie, co miało się potem przydać.

Wieś Piętki była szlachecka i na punkcie szlachectwa jej mieszkańcy byli wyczuleni. Najbiedniejsi nawet tytułowali się "państwem".

W pięknej Łodzi, zubożałej szlachciance, która utrzymywała się z pracy u bogatszych - zakochał się młody, bogaty właściciel młyna z Kuczyna. Kiedy przyszedł oświadczyć się - matka Łodzi wyszła naprzeciwko niego z miotłą; "Precz chamie z mojego domu"! Młynarz powiesił się na skraju wsi, a Łodzia nigdy nie miała wyjść zamąż.

Dziwna była, często dla mnie nie zrozumiała mentalność wieśniaka.

Grupę gimnazjalną uczyłem m.inn. łaciny i języka niemieckiego. Oczywiście ludzie nie omieszkali moją znajomość języka niemieckiego wykorzystać praktycznie. Przychodzili do mnie z prośbą o napisanie podania do Komisarza w różnych sprawach: o zezwolenie na wybudowanie stodoły, o zwolnienie z "kontyngentów", o zwolnienie z obowiązku wyjazdu do Niemiec "na roboty" itp. Oczywiście, nigdy nie odmawiałem takiej prośbie, uważałem to za swój obowiązek.

Pewnego razu przyszedł do mnie pan Piętka bez wstępu oznajmił, że należy mu się ode mnie nagroda, że powinieniem mu "postawić litra". Co się tało, dlaczego ? Co ja jemu zawdzięczam ? Odpowiedź była zadziwiająca. Panu Piętce napisałem podanie do komisarza rolnego o zezwolenie na przeniesienie stodoły na nowe siedlisko. Pan Piętka skorzystał z okazji,że do Szepietowa jechał podsołtys, Pan Siekierka, poprosił więc go o doręczenie podania Komisarzowi. Pan Siekierka wręczył podanie nie komisarzowi rolnemu, ale znanemu katowi, "amtskomisarzowi" o nazwisku Danke. Ten po przeczytaniu podania, zapytał pana Siekierkę, kto to pisał. "Nie wiem" - odpowiedział pan Siekierka. Wówczas komisarz uderzył go w twarz i pytanie powtórzył.

Pan Siekierka, człowiek nad wyraz solidny i inteligentny powiedział, że podanie nie jest jego, ale napisał go jakiś "szmugler" z Warszawy. "Widzi pan"? powiedział mi na zakończenie pan Piętka, "gdyby tak mnie ten komisarz przyrżnął w mordę, to ja bym musiał powiedzieć!" Tak więc, nie dość, że panu Piętce napisałem podanie, ale musiałem mu do tego dopłacić.

Pan Antoni zreperował mi spodnie, które następnie prasował. Pozostawił na spodniach gorące żelazko i odszedł do stodoły. Kiedy wrócił, spodnie paliły się płomieniem, nic z nich nie pozostało. A o ubranie było trudno. Kiedy wyraziłem żal, pan Antoni był tym conajmniej zdziwiony. "Niech pan mnie podziękuje, że w porę ugasiłem pożar, bo żeby nie ja,to spaliłby się cały dom".

Pan Jan Tymiński był ożeniony z "dziedziczką", czyli właścicielką gospodarstwa i według zwyczaju niewiele miał w domu do powiedzenia, musiał być posłuszny woli pani Walerii. Pani Waleria czasami miała "humory", czasami "łoskomę", to znaczy, że czegoś jej się zachciało jeść, musiała to dostać, choćby to miały być nieosiągalne śledzie. Jeżeli nie zaspakajała "łoskomy", była chora i zła. Krzyczała na swego męża, wymyślała mu: "ty oranguto przeklęta, ty patrioto głupia,ty zdechlino wykastrowana..." Pan Jan się tym nie przejmował, mrugał na mnie porozumiewawczo.

Pan Jan opowiadał, jakim był przystojnym mężczyzną "za młodu", że miał ładne oczy i długie rzęsy, które teraz na starość mu się "wytrzepali", przecie tyle lat mryga, a "duży spróchnieli" i dlatego pokasłuje.

Kiedy Pani Waleria przyłapała pana Jana jak w piątek jadł pokryjomu słoninę, zwymyślała go, stwierdzając przy tym: "Ja to zawsze poszczę". Pan Jan powiedział wtedy: i ja jak dobrze zjem i popiję, to toż sobie poszczę".

Wspomniałem już o tym, że każdy rodzic zobowiązał się płacić mi "ćwiartkę" zboża, lub kilogram tłuszczu miesięcznie za naukę dziecka. Ponieważ niektórzy mieli kilkoro uczących się dzieci, ustaliłem sam, że w takim wypadku rodzice będą płacić za jedno dziecko.

Ale później okazało się, że każdy z rodziców obliczał, że jeżeli ja dostanę pięćdziesiąt "ćwiartek" zboża, to się szybko wzbogacę". Jeżeli więc ja jeden nie dam, to i tak on będzie bogaty". Rzecz w tym, że wszyscy rodzice myśleli tak samo. Postanowiłem wyjść z tej sytuacji honorowo. Nauczania nie mogłem ani ja traktować jako źródła dochodu, ani nie mogłem dopuścić, aby inni tak to rozumieli. Na najbliższym zebraniu u sołtysa oświadczyłem, że dzieci uczyć będę z żoną bezpłatnie. To mój patriotyczny obowiązek. Zresztą, wobec wsi jestem zobowiązany za to, że znalazłem w niej schronienie. Będziemy więc z żoną i tak mocno dla niej zobowiązani.
Na takie rozwiązanie sprawy byłem już przygotowany. Już w okolicy stałem się sławny - z wyrobu pięknego, artystycznego obuwia, czyli "drewniaczków". Zrobiłem takie żonie, chciały je mieć wszystkie eleganckie panie i dziewczęta. Robiłem. Ja robiłem "drewno", żona pięknie wyszywała paseczki. Obuwie było rzeczywiście piękne. Później rozszerzyliśmy "produkcję" o damskie torebki z drewnianymi "klepkami". I tu ja robiłem ze specjalnego drewna, najczęściej brzostowego, czasami z grubszy - owe ozdobne klepki, żona szyła lnianą, pięknie wyszywaną torebkę. Jedną taką torebkę zachowałem do dziś jako cenną pamiątkę. Za parę obuwia lub torebkę "płacono" kilogram tłuszczu: była to jednostka wymienna, być może stosowana w czasach, kiedy nie było jeszcze w użyciu, przynajmniej na wsi, pieniądza. Nikt zresztą nie pytał mnie ile biorę za wykonaną pracę, przynosił kilogram słoniny, lub "osełkę" masła. Nigdy nie targowaliśmy się. Pracy mieliśmy pod dostatkiem. Doszedłem do wprawy, robiłem rzeczy, których dziś nie powstydziłbym się pokazać na wystawie. Dobierałem nie tylko gatunki drewna, ale i słoje, umiałem odpowiednio ciąć pieniek, aby kawałki były dekoracyjne ze względu na układ odcieni i słoja. Narzędzia miałem prymitywne: toporek, "raszpel", czyli zdzierak, nóż, kawałki szkła do wygładzania. Gwoździki można było dostać z trudem, ale ja je dostawałem.

Pewnego razu przyszła do mnie kobieta z sąsiedniej wsi z prośbą, abym zreperował jej maszynę do szycia. "Spróbuję". Znałem się dobrze na silnikach samolotowych, skomplikowanych

karabinach maszynowych, dlaczego nie miałbym spróbować zreperować zwykłej maszyny do szycia. Zreperowałem. Później miałem zreperować takich maszyn wiele.

U jednego z gospodarzy zauważyłem wiszący na ścianie zepsuty zegar. Zreperowałem mu ten zegar. Reperowałem potem wiele zegarów ściennych, budzików, nieraz takich, które nie chodziły wiele lat. Uruchomiłem zegar z kukułką, drewnianej konstrukcji, który nie chodził od niepamiętnych czasów, a liczył sobie na pewno ponad sto lat. I za każdą "robotę" otrzymywałem jednakową zapłatę: i za taką, nad którą siedziałem piętnaście minut i za taką, nad którą męczyłem się szereg dni. Często zresztą robiłem to dla ciekawości, albo dla zaspokojenia ambicji. W każdym razie ta praca dawała nam utrzymanie, a przecie tak mało nam trzeba było do zaspokojenia naszych potrzeb.

Latem pomagałem gospodarzom w pracy na polu, przy żniwach, przy pielęgnowaniu drzew owocowych, przy pszczołach.

Upalne lato. Pszczółki pracowicie noszą nektar, robią miód. Pszczelarze się cieszą. Poznałem bliżej pszczelarstwo. Mnie bardziej interesowały pszczoły, wspaniała organizacja ich życia, pszczelarza interesował miód. Wieśniacy są realni i patrząc na łąkę - widzą trawę, a nie piękno rosnących tam kwiatów. Kwiaty na łące widzą pszczelarze - ale jako źródło miodu.

Przez cały upalny lipcowy dzień pomagam "pasiecznikowi" przy podbieraniu miodu. Mimo siatki, mimo rękawic - pszczoły pociąły mnie okrutnie. Ucieszyliśmy się z żoną, kiedy wieczorem, siedząc przed domem na ławeczce zauważyliśmy sąsiada -.pszczelarza niosącego ostrożnie pełen, półlitrowy kubek. Brakło nam cukru, nigdy go właściwie nie mieliśmy. Gotowaliśmy z buraków cukrowych syrop, którym słodziliśmy sobie upaloną z żołędzi kawę. O, jak nam się przyda miód! Jakże przykro nam było, kiedy w kubku okazało się zwyczajne mleko, którego i tak mieliśmy dosyć.
Mówił potem pan Zygmunt Szepietowski, że do tego pana pszczelarza zresztą jednego z najbogatszych gospodarzy we wsi, trzeba iść z nocnikiem, bo napewno gówno da.

Kawalarz był ten pan Zygmunt, pełen humoru, dowcipów, zabawnych pomysłów. Mieszkał na kolonii, we wsi był rzadko. Kiedy pewnego razu, po dłuższej przerwie pojawił się we wsi, nikt go nie poznał, miał wąsy tak długie, jak na ilustracji w podręczniku, miał pan Smolka. Chodził więc pan Zygmunt od chaty do chaty, w jednej udawał żebraka, w innej kupca, to znów dalekiego kuzyna, przy czym tak wspaniale odtwarzał role, że nikomu do głowy nie przyszło, że to sąsiad, pan Zygmunt. Jego pobyt w każdym mieszkaniu kończył się huraganowym śmiechem, ogólną wesołością. Pan Zygmunt miał mi później, w krytycznej chwili, udzielić pomocy, ratować mi życie.

Na wsi liczy się praca fizyczna, natomiast praca nauczyciela, lekarza, inżyniera nazywa się "lekkim chlebem". To też przede wszystkim byłem ceniony za "drewniaki", za torebki damskie, za reperacje zegarków i maszyn do szycia mniej jako nauczyciel, ale dawało mi satysfakcję to, że lubiła mnie dziatwa i młodzież, wiedziałem, że mnie nie zapomni.

W okresie tym nie było papierosów. Palono machorkę, uprawianą we własnym zakresie. Skręcało się papierosa w gazecie lub kartkach wyrwanych z książek. Po tych kartkach właśnie doszedłem do schowanej na strychu jednego z gospodarzy ładnej biblioteczki. "A to bratanek uczył się na księdza, po nim to zostało".

Założyłem plantację tytoniu. Było to ryzykowne, Niemcy zabronili, jak i pędzenia samogonu, nawet o tyle ryzykowniejsze, że aparaturę do pędzenia bimbru można było schować, a plantacji tytoniu - nie. Ale plantacja opłacała się. Suszyłem liście, prasowałem je, prażyłem w piekarniku, krajałem specjalnym nożem, który zrobiłem ze złamanej kosy. Mój tytoń cieszył się wzięciem.

Pewnego razu niespodziewanie wpadli do wsi Niemcy. Byli to "akcyźnicy", właśnie poszukujący bimbrowni i plantacji tytoniu. Ale machorkę uprawiał prawie każdy rolnik. Błyskawicznie zorganizowana zbiórka jaj i parę litrów samogonu poskutkowały. Akcyźnicy nie stwierdzili wykroczeń i odjechali bardzo zadowoleni.

Tymczasem wojna trwała, Niemcy parli naprzód. Ale nikt w ich zwycięstwo nie wierzył. Ludzie odczuwali to intuicyjnie, wielu było zdania, że przecież zbrodniarze światem rządzić nie będą, że musi zwyciężyć sprawiedliwość. Ale trzeba było to społeczeństwo wychowywać, uświadamiać, budzić wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy. Na wszystkich zebraniach u sołtysa zabierałem głos, dzieliłem się swoim rozumowaniem, twierdziłem, że przeżywamy dopiero drugi akt w historii obecnej wojny, że epilog nastąpi w akcie czwartym.

O tym też rozmawialiśmy przy każdej okazji a najczęściej wieczorami, po "obrządku"; przychodzili ludzie do mnie, siedzieliśmy nieraz do późnej nocy na trawie i rozmawiali. Często nad nami przelatywały ciężkie bombowce, ciągnące za sobą po dwa "towarowe" szybowce. Trudno teraz odtworzyć tę atmosferę, jaka nam wówczas towarzyszyła. Siedzieliśmy, pocieszając się, nasycając optymizmem, czekaliśmy na zagładę tych najstraszniejszych w dziejach ludzkości zbrodniarzy, jakgdybyśmy mieli doczekać się tego jeszcze tej nocy i nie chciało się iść spać. Co jutro nam przyniesie ? Niestety, długo jeszcze przyszło nam czekać na wolność.

Pan Jan zbudził nas o świcie. "Proszę popatrzeć przez okno na północ". Kilka kilometrów od nas paliła się wieś Kraszewo-Częstki. Groźny, potężny dym jakby cały horyzont pokrywał czernią, widać było ogień. A potem serie strzałów. Nie trzeba nam było wyjaśnień. Wiedzieliśmy co to znaczy. Okupant dawał o sobie znać.
I znów dym i łuna. Paliły się Dobki, wymowne były dalekie łuny, szczególnie na wschodzie.

Pewnej nocy zbudziłem się oblany potem. Czy mam wierzyć w sny ? A co to jest intuicja, szczególnie rozwinięta u zwierząt ?
A może wyczulony system nerwowy upodobniał mnie do tropionego zwierzęcia ? Kiedy wyskoczyłem przez okno, wieś była otoczona przez żandarmerię. Wkrótce pojawił się dym i słup ognia. Paliły się zabudowania Janka Piętki, aresztowanego przed kilkoma dniami. Przerażenie ogarnęło wieś. Płonie dorobek pokoleń,

w ciągu kilku minut zmienia się w popiół to, co dla rolnika jest wszystkim. Wróg wie, jak steroryzować okupowany kraj.

Wkrótce potem doszła do wsi wiadomość o aresztowaniu nauczyciela sąsiedniej wsi, Wróblewskiego.

Żandarmi podali do wiadomości sołtysom, by zgłaszali do nich nauczycieli i każdą próbę nauczania.

Przyszła do mnie delegacja kilkuosobowa, sprawę postawiono krótko i jasno: mamy wynosić się ze wsi. Rozumieliśmy ich obawy. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. - Dokąd mieliśmy pójść ? Może sam dałbym sobie radę, szedłbym na wschód, gdzie była nasza nadzieja. Mogłem żyć w każdych warunkach, byłem zahartowany. Ale z żoną to było niemożliwe.

Wieś jednak nie była jednolita. O naszej sytuacji dowiedzieli się wszyscy. Okazało się, że "delegacja" była samozwańcza, reprezentowała tylko siebie. Byłem wzruszony postawą szeregu ludzi, którzy ofiarowali nam mieszkanie i brali na siebie całkowitą odpowiedzialność za swoją decyzję. Nie zapomnę tego Piętkom z kolonii, Edwardowi Białemu, Szepietowskim, Lubowickim i innym. Byłem też nieco przerażony, kiedy inna delegacja oznajmiła mi "że to się więcej nie powtórzy, że inicjatorzy tego występku gorzko pożałują i długo popamiętają"...

Po tym wydarzeniu wyczułem jakby większy dla nas szacunek. Patriotyczna postawa społeczeństwa przygniotła tchórzliwych egoistów.

--- o ---

"Jakby sam Pan Jezus w aksamitnych spodniach przez gardło przeszedł" - chwalił pan Tymiński samogonkę z miodem po wypiciu jednym haustem pokaźnych rozmiarów kubka.

"Tłoki" były tradycją praktykowaną tu od niepamiętnych czasów. Wspólna praca, najczęściej stosowana przy wykopkach ziemniaków "załatwiała" kłopot w ciągu jednego dnia. Nie było zapłaty, była gościna. Oczywiście z samogonką.

Jedna z grup tajnych kompletów. Obok mnie z prawej Eugeniusz Lukowicki, obecnie przewodniczący Prezydium Pow. Rady Narodowej w Sejnach, z lewej - Henryk Szepietowski - inżynier budownictwa, klęczą od prawej: Stanisław Wojno, Lutek Piętka, Jan Porowski, Jerzy Tołwiński - magister inżynier leśnictwa, nad nimi stoją: od prawej Irenka Wyszyńska, Mirek Szepietowski, Zenek Moczulski, Irena Szepietowska, Irena Piętkówna i najwyżej od prawej Gienia Łuniewska, Stefcia Tymińska, Halinka Szepietowska i Zofia Piętkówna - siostra zamordowanego Tadka.

We wsi nie było pijaństwa, niemniej sporo gospodarzy pędziło "bimber". Za bimber można było dostać różny towar. Nierzadko przy bimbrowni zbierała się grupa mężczyzn, zagorzałych polityków, pito przy tym samogon ściekający z rurki, jeszcze ciepły, o obrzydliwym zapachu i smaku. Spróbowałem. Strząchnęło mną, bimber pociekł mi z glinianego kubka po brodzie.

Nie piłem, w ogóle unikałem tej okazji, nie chciałem przeżywać złudzeń, które przynosi alkohol. Musiałem zawsze być trzeźwy.

Na tłoce u pana Moczulskiego podszedł do mnie Zenek wybitnie zdolny, mój siedmioletni uczeń już klasy drugiej i trzymając potężny kielich samogonu z miodem - wyrecytował wyuczony wierszyk. Sądziłem, że Zenek przynosi mi ten kielich, abym do wypił, tymczasem ów chłopczyk, po zakończeniu przemówienia słowami "w ręce pana perswaduję" - wychylił kielich do dna. Patrzałem na to z przerażeniem, ojciec Zenka z dumą. Nieprzytomnego chłopca zaniesiono do łóżka. "Nic mu nie będzie". Byłem bezsilny, w kwestii "picia" nie miałem tu wiele do powiedzenia. "A co pan może wiedzieć o tym, jak pan sam nie pije". Ale w tej materii miałem coś do powiedzenia dzieciom i młodzieży na lekcjach i to z dobrym skutkiem.

Polubiłem swoich wychowanków i wiem, że z wzajemnością. Już na zawsze pozostaną mi w pamięci ich twarze, zawsze uśmiechnięte, zresztą może nie chcę pamiętać innych. Nie mogę sobie inaczej ich wyobrazić - jak tylko takich, jakimi byli wtedy. - Tak, Gieniuś Lubowicki, ten inteligentny i zdolny psotnik, który wsadził mi wronę do szuflady, gdzie trzymałem swoje "dzienniki" lekcyjne, czyli zwykłe zeszyty, ten zamiłowany modelarz - dziś jest zasłużonym przewodniczącym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sejnach. Jurek Tołwiński, pracowity Jurek - to dziś magister - inżynier, zajmujący wysokie stanowisko w Leśnictwie, a przekomiczny, dowcipny Kazik, brat Jurka jest dziś doktorem medycyny w Białymstoku, również ich stryjeczny brat Tomek, syn kapitana - sapera, bohatera kampanii wrześniowej, kawalera Krzyża Virtuti-Militarii, dziś doktor medycyny w Białymstoku - był stypendystą w Stanach Zjednoczonych, obaj bracia Siemionowie - zostali lekarzami, Janka Woda

jest dziś lekarzem w Poznaniu, Janka Olszewska - lekarzem w Sopocie, Łotek Wyszyński - inżynierem w Białymstoku...

A jednak, mimo, że zupełnie inaczej wyobrażałem sobie siebie w okresie wojny, moja praca dawała mi satysfakcję i ta satysfakcja pozostała do dziś.

Radośnie przeżywam chwile spotkań z moimi wychowankami z tych trudnych chwil, nie raz łzy mi wyciskają serdeczne pozdrowienia od marynarzy, moich pupilków, przysyłane z dalekich krajów, czy tych wszystkich, którzy związali się ze mną uczuciowo na zawsze.

Moi wychowankowie nie tylko byli dla mnie uczniami. Chciałem wpoić w nich szerokie zainteresowania i to takie, które i mnie i młodzież pociągały. Zorganizowałem kółko modelarstwa lotniczego. Mając prymitywne narzędzia, głównie noże kuchenne, zwykłe sosnowe drewno, papier natłuszczony masłem i lniane nici - robiliśmy modele, których i dziś bym się nie powstydził. Genka Lubowickiego czy Stasia Wojno - widziałem jako przyszłych konstruktorów.

Modelarstwo omal że nie stało się przyczyną nieszczęścia. Żandarmi zauważyli model stojący nad wsią na uwięzi, jak to się robi z latawcami, zainteresowali się tym modelem, być może domyślali się, że musi ktoś to robić, kto się na tym zna, a może też widzieli w nim sygnał partyzancki.

"Niemcy" !

"Zostańcie chłopcy, wiecie co mówić" - Niemcy oczywiście pytali kto to robi takie modele, a Staś Wojno z dumą pochwalił się, że to on właśnie, że potrafi jeszcze lepsze.

W moich dzieciach widziałem rosnących patriotów, widziałem u nich przyszłość naszego wyzwolonego kraju, ludzi mądrych...

Wieś nie przywiązywała wagi do sportu, młodzież nawet sportu nie znała, nie wiedziała, jaki w ogóle istnieje sport. "Dla naszych dzieci sport to cepy kosa, siekiera..." - mawiali rodzice. Ale okazało się, że przykład podziałał.

Z podziwem przyglądali się chłopcy jak robiłem salto w przód i w tył, jak chodziłem na rękach. Próbowali i oni. Później sport stał się rzeczywiście przedmiotem zainteresowania chłopców, robiliśmy nawet zawody lekkoatletyczne. Oczywiście, kulą był kamień, ale mieliśmy nie wiadomo skąd prawdziwy dysk. Powodzeniem cieszyła się "walka francuska" - kto kogo położy na łopatki.

--- o ---

Przed naszym domem wieczorami zbierali się ludzie. Tak to się mówiło - przyszli ludzie. Schodzili się po "obrządku" wolno, na zewnątrz nie okazując zainteresowania; nigdy zresztą nie emocjonowali się, byli spokojni. Długie wieczory niekiedy miały charakter jakby ludowego uniwersytetu.

Z wielkim zainteresowaniem słuchali o budowie wszechświata, o czynnikach pogody, o różnych krajach, różnych ludach i ich zwyczajach, wierzeniach. Byłem zdziwiony oczytaniem i "osłuchaniem" w radio pana Piętki - Tanana, wielkim doświadczeniem i mądrym poglądem na świat pana Moczulskiego, który pół życia spędził w Ameryce, byłem serdecznie ubawiony humorem i dowcipami pana Jana Żymińskiego, mojego gospodarza.

Ale nade wszystko interesowała ich "polityka" w ogóle, a w szczególności toczącą się wojna. Nikt nie wątpił, że Niemcy wojnę przegrają. Ale co będzie dalej ? Ludzie na wsi posiadają umysł krytyczny, nigdy nie są zadowoleni z obecnej sytuacji, a boją się panicznie "nowego".

Chciałem wykorzystać wszystkie argumenty mówiące o kupieckim traktowaniu sprawy polskiej przez kraje zachodnie, zresztą wszyscy to widzieli: "Na zachodzie bez zmian" - stało się symbolem tej sytuacji. Wyzwolenie przyjdzie ze wschodu - było to jasne dla wszystkich. Ale o tym mówiono bardzo wstrzemięźliwie, może trochę z lękiem. Synonimem socjalizmu dla nich były kołchozy, których się bali.

Przekonywałem ich, że naród sam zadecyduje o naszym ustroju. Informacje z frontu nadchodziły do nas z opóźnieniem, a ich źródłem początkowo była prasa niemiecka, w której wiele

ciekawych wniosków znajdowaliśmy "między wierszami". Później doczekaliśmy prasy podziemnej.

Do wsi przychodzili "szmuklerzy". Byli to warszawiacy przynoszący towar na wymianę na tłuszcz, najczęściej na "rąbankę". Byli wśród nich różni; mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, budzący zaufanie i podejrzani. Ludzie we wsi obdarzali zaufaniem przede wszystkim tych, którzy przychodzili do wsi kilka razy, a byli wśród nich i tacy, którzy przychodzili przez cały czas okupacji.

Właśnie takiego poznałem, wyczułem, że można z nim rozmawiać szczerze. Był niskiego wzrostu, krępy, z nieproporcjonalnie wielką głową. Mówił, że brak prezencji spowodował, że nie dostał stopnia oficerskiego, mimo, że ukończył podchorążówkę z bardzo dobrym wynikiem, odbył ćwiczenia rezerwy i był dowódcą batalionu w kampanii wrześniowej, walczył pod Kutnem. Mówił, że był, jest i będzie proletariuszem, że sama natura postawiła go po tej stronie barykady.
Po treści naszej rozmowy na pewno i on wywnioskował, że można mi zaufać. Przychodził zmęczony, prosił by mu pozwolić zdrzemnąć się w pozycji siedzącej, na ławie, pod piecem, gdzie zawsze było ciepło. Już po kilku minutach budził się, otrząsał i - opowiadał. Inaczej przy ludziach, inaczej mówił ze mną, na osobności. Z wielką ostrożnością i obawą wręczał mi gazetki, które dla mnie były wówczas największym skarbem. Niestety, nie mogłem ani komukolwiek ich pokazać, ani nawet cytować pisanych w nich artykułów. Ale całą treść tych gazetek mogłem przekazać jako informacje uzyskane ustnie od "pana Tadeusza", "Trybunę Wolności", "Trybunę Robotniczą" i inne pisma czytałem po kilkanaście razy, znałem ich treść na pamięć.
Później interpretowałem je tak, aby tę treść przekazać "na swój sposób", aby trafiła do wszystkich jako prawda pochodząca z najbardziej autorytatywnych źródeł. Trzeba było przede wszystkim budzić wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, zwycięstwo nad faszyzmem. "Czy będą i jakie będą reformy społeczne"? Muszą być, nikt nie wątpił w to, że Polska "panów" już nie wróci.

Ale panował wśród niektórych szczególnie lęk przed "kołchozami", co z kolei przenosiło się na negatywny stosunek do Związku Radzieckiego. Byli nawet tak zacietrzewieni, że przy rozmowach na te tematy tracili wszelki rozsądek. Nie zapomnę m.in. i takiej oto opinii jednego z fanatyków, opinii, która nawet w środowisku antagonistów socjalizmu kompromitowała go. "Niemiec to pan ! On do mojej chaty nie wstąpi, on rozmawiając ze mną siedzi rozpaśty na bryczce, jak prawdziwy pan. On ma zawsze buty wyglansowane.I choć mnie pytą przyleje w mordę, to ja widzę, że to pan. A taki "sowiet" - choć major - to on przychodzi do mojej brudnej chałupy i w gazecie kręci papierosa. To łachudra, a nie major".

Wkładałem ogromny wysiłek, aby wszystkich uświadomiać, że naszym wrogiem jest faszyzm niemiecki i tylko z nim trzeba walczyć. A argumentów miałem dużo.

"O naszym systemie wewnętrznym będziemy decydować później, najpierw trzeba zniszczyć wroga".

Widziałem i wyczuwałem też to, co było elementem walki klasowej we wsi. Był wyraźny podział na bogatych i biednych. Biedni "siedzieli w kieszeni" bogatych, zmuszeni byli u nich pracować. Nie śmieli głośno wyrażać swojej opinii, bali się posądzenia o komunizm. Z takimi rozprawiano się po wkroczeniu Niemców, lęk padł na wszystkich, którym można było taką "łatkę przypiąć".

Ci właśnie biedni wyczuwali we mnie bratnią duszę, może intuicyjnie, a może dlatego, że i ja nic nie posiadałem, a tam wartość człowieka oceniało się głównie ilością posiadanych hektarów.

Ilekroć z nimi rozmawiałem, dawałem do zrozumienia, że po wojnie dużo się zmieni. Ale teraz najważniejsze, to nie dać się wrogowi, przetrwać.

Długie lata konspiracji, bogate doświadczenia, aresztowania, więzienia, nadzór policji, sądy i wyroki - nauczyły mnie czujności i ostrożności. Bałem się każdej obcej twarzy, unikałem nieznajomych, ukrywałem się przed "szmuglerami", każde pukanie do drzwi zaostrzało moją uwagę, nie znosiłem i nigdy nie dopuściłem do tego, aby ktoś szedł za mną z tyłu. Bałem się szczególnie swego nazwiska, starałem się sam o nim

zapomnieć, doprowadzić do tego, aby mi było obce, aby nie zareagować na nie, gdyby ktoś go użył. Tu w Piętkach byłem Szymanowskim, miałem na to dokumenty.

Zimno i gorąco mi się zrobiło, kiedy pewnego razu,we młynie, gdzie pomagałem ładować zboże, podszedł do mnie młody rolnik i zapytał: "Poznaje mnie pan ? "Faktycznie, twarz znajoma, nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Lęk ogarnął mnie, kiedy pomyślałem że może znamy się z więzienia, lub okresu radzieckiego. Ale on sam przyspieszył rozwiązanie zagadki: "Pamięta pan Karolin?" Tak, błyskawicznie przypomniałem i odetchnąłem. W Karolinie k/Grodna gdzie było polowe lotnisko latałem na "Potezie" na współpracę z artylerią, a pan Józef Piętka, zamieszkały obecnie w sąsiedniej wsi Szeligi, był dowódcą kampanii wartowniczej, która pełniła straż przy samolotach. Pan Józef latał ze mną samolotem. Nie pamiętał mojego nazwiska, lub może nie chciał pamiętać. Później uczyłem jego dzieci, a jego syn Janek, jest obecnie zawodowym w lotnictwie morskim.

Bywały chwile, kiedy się cieszyłem, kiedy chciało mi się śmiać. Wydawało mi się jednak, że po radości przyjdzie smutek i dlatego chyba byłem oszczędny w okazywaniu radości. Nic nie mogło mnie uśpić, czy znieczulić.

Bałem się też rozpocząć czytania książki, choć można było ją dostać, były w prywatnym posiadaniu. Obawiałem się, że nie zdążę takiej książki przeczytać, lepiej więc było jej nie zaczynać.

Pewnego razu przechodził przez wieś dziadek - grajek, który na skrzypcach rzępolił ludowe melodie. Zwróciłem uwagę na skrzypce. Przez osiem lat grałem na skrzypcach, znałem ten instrument.
Moją uwagę zwrócił dźwięk skrzypiec dziadka i ich wygląd. Poprosiłem by mi je pokazał. Oryginalne "Stradivariusa". "Dziadku, niech dziadek sprzeda mi te skrzypeczki". "Trzy metry pszenicy" - odpowiada. Przecie to darmo - pomyślałem! I znów zadziałał instynkt. Przecie nie jestem pewien, czy przeżyję do jutra, a chcę kupić rzecz, która będzie mieć wartość w mglisto zarysowującej się przyszłości.

Te skrzypce przyniosą mi nieszczęście. Ale do dziś zapomnieć ich nie mogę. Później dowiedziałem się, że pochodziły z Rutek, że były własnością hrabiego Potockiego.

Zorganizowałem we wsi czytanie książek. Czytanie głośne. Wybrałem Sienkiewicza "Trylogię". Ludzie przeżywali to głęboko, szczególnie starsi, którym treść tego dzieła trafiała do serca.

Nowe, wciąż nowe wydarzenia - i te które budziły lęk i te, które niosły nadzieję absorbowały tak silnie i całkowicie, że wszystko inne przy tym bladło. Wszak przeżywaliśmy chwile, które miały zadecydować o naszej historii, o ukształtowaniu się i naszej Ojczyzny i całej ludzkości.

"Pamiętajmy, że przeżywamy drugi akt historii tej wojny, że czeka nas trzeci, a w czwartym dopiero nadejdzie epilog".

Ilość uczących się dzieci nie malała, trudno było podołać pracy mnie i żonie. Doszła nowa nauczycielka. We wsi mieszkała żona kapitana Bronisława Tołwińskiego. Pani Tołwińska była przed wojną pielęgniarką, miała wykształcenie więcej niż średnie: zgodziła się i doszła trzecia "siła". I wszyscy troje mieliśmy co robić.

Jako były inspektor szkolny miałem pewne nawyki administracyjne i "kierownicze". Wiedziałem, że w sąsiednich wsiach dzieci się też uczą, że są tam nauczyciele. W Wyszonkach była rodzina nauczycielska - Wróblewskich, z której to młody Wróblewski był następnie aresztowany, był demokrata Wiśniowski, który następnie zginął śmiercią samobójczą, w Klukowie - Komasiak, zamordowany później w obozie hitlerowskim, wielce zasłużona nauczycielka Ewa Kazimierska - późniejsza kierowniczka szkoły w Klukowie, pani Irena Kostrówna - w Kostrach, Szewczykowa - w Żabińcu i jej koleżanka i inne.

Pani Szewczykowa zajęła się bardzo intratnym wówczas zajęciem - wróżbiarstwem. "Wchodząc w trans" - widziała złodziejów, którzy dokonali rabunku, nawet miejsce, w którym znajdują się skradzione rzeczy, czy można wydać córkę za tego

oto młodzieńca, czyli co on sobą reprezentuje, czy po wojnie nadejdzie spadek itp.
Niestety skończyło się źródło łatwego dochodu, kiedy dwaj bracia, oskarżeni przez nią o dokonanie kradzieży, poprostu sprawili jej tęgie lanie i ostrzegli, że następnym razem będzie gorzej.

Otóż uważałem, że powinniśmy ze sobą współpracować w dziedzinie wymiany doświadczeń, programów, podręczników, czy także rozmawiać o wszystkim, co nas wówczas interesowało. Ale o zorganizowaniu "konferencji" nie mogło być mowy. Wobec tego pozostały kontakty osobiste, ale i ro rzucało się w oczy. Rozmowy między nami były krótkie, jakby przypadkowe, nie mogły stwarzać nawet pozorów specjalnie zorganizowanych.

Kiedy zaproponowano nam wyjazd do Chodyszewa na odpust, pomyślałem, że tę okoliczność możnaby wykorzystać na szersze spotkanie nauczycieli. Odpust nie ma charakteru modlitwy, raczej zjazdów rodzinnych i nikt się nie dziwi, że się ludzie gromadzą grupami przed tym odpustem, podczas jego trwania oraz po odpuście. Rozesłaliśmy "wici". Spotkamy się na "cmentarzu", z prawej strony kościoła. Dzień był upalny, długo jechaliśmy furmanką po zakurzonej drodze. Cały czas układałem sobie treść tego, co chcę powiedzieć. Niestety, rzeczywistość zawsze odbiega od wyobrażeń. W olbrzymim, wielotysięcznym tłumie, jaki otaczał kościół i wypełniał całą wieś - trudno było się znaleźć. Sciągnęły tu tysiące ludzi nawet z bardzo odległych stron, przecie była okazja spotkać się bez obawy. A rodziny chciały się widzieć, potwierdzić jakby fakt swego istnienia.

Pokazano mi dwie nauczycielki. Przestraszyłem się. Ubrane były barwnie, pstrokato, ich strój rzucał się w oczy. "Oto te koczkodany - to nauczycielki" - powiedział mi pan Tymiński. A więc te odpadają. Przecie to było jasne, nie mogliśmy się różnić od tłumu. W dowodzie byłem "Bauer" - musiałem upodobnić się do przeciętnego rolnika.
Ulokowaliśmy się w tłumie, zgodnie z zapowiedzią z prawej strony obok przejścia do kościoła. Po obu stronach przejścia usadowili się żebracy, było ich wyjątkowo dużo.

Wcale nie byli skrępowani otoczeniem, głośno rozmawiali o swoich "dochodach". Nagle, akurat podczas "podniesienia", kiedy panowała cisza, zawarczały motory. To było jasne, samochodami jeździli tylko gestapowcy, nawet żandarmi i komisarz jeździli bryczkami. Cisza stała się jeszcze głębsza. Wtedy jeden z żebraków głośno zaczął wołać: "Zgraw Panie Boże, aby ich pokręciło, aby ich jasny piorun ukatrupił, żeby oni zdychali i zdechnąć nie mogli, ścierwa, bandyci..."
Przeżyliśmy chwilę lęku, chwilę, która trwała przecie tak długo. Niemcy mieli rozeznanie, mieli szpiclów. Wiedzieli, że to na odpuście mają spotkać się dowódcy kilku grup partyzanckich. Ale partyzanci mieli lepsze rozeznanie i miejsce spotkania zmienili.

Tak więc nasze nauczycielskie spotkanie także się nie odbyło. Porozmawiałem tylko z tymi, z którymi i tak miałem kontakty.

--- o ---

Każdy dzień był wiekiem i każdy przeżyty dzień zaliczał się do sukcesów. Tymczasem, w miarę upływu czasu rosło napięcie. Już w niemieckich gazetach nie było sloganu "Deutschland siegt an allen Fronten". Stało się wiadome, że Niemcy dostali w skórę pod Stalingradem, że się cofają. Nasze życie stawało się coraz bardziej nerwowe. Wieczory, nieraz nowe spędzaliśmy na rozmowach.

Stałem godzinami patrząc na wschód, jakbym tak stojąc miał się doczekać wyzwolenia. Ale wyzwolenie było jeszcze daleko.

Dziesiątki i setki samolotów, lecących na wschód dawały dużo do myślenia. Dowiedziałem się, że te potężne zgrupowania to lotnictwo aliantów z zachodu. Czyżby to była prawda ? Latały nocą i bardzo wysoko. Natomiast w dzień leciały nisko samoloty z czarnymi krzyżami, ciągnące potężne szybowce. Każdy samolot ciągnął na linie dwa szybowce. A więc to transport. Czyli transport kolejowy i samochodowy zawodzi.

Tymczasem okupanci wściekali się. Wiadomo nam było, jakie ponoszą klęski i to nie tylko na froncie. We wsi Niemcy pojawiali się coraz częściej. Kryliśmy się z żoną na polach, w zbożu, gdzie całymi godzinami leżeliśmy przywarci do ziemi, nie podnosząc głowy ponad zboże.

W nocy spaliśmy jak zające, z nawpół otwartymi oczami. Chyba już niewiele pozostało do całkowitej klęski hitlerowców. Tyle się przeżyło, niewiele pozostało, ale jakże jeszcze niepewnych, groźnych chwil.

Daleko na wschodzie, słychać było coraz wyraźniej grzmoty artylerii i bomb lotniczych, a nocą obserwowaliśmy "choinki" - wkrótce potem słychać było wybuchy bomb.

Pewnego razu nocą, kiedy stałem przed domem oparty o płot, zauważyłem skradającego się człowieka. Szedł chyłkiem, co chwilę zatrzymując się. "Ten człowiek ukrywa się" - pomyślałem. Wyszedłem naprzeciw. Był to Żyd. Wylękniony, zarośnięty, ubrany w strzępy łachmanów. Wyniosłem mu chleb i mleko. Mleko wypił, chleb schował do torby. Wskazałem mu zabudowania na kolonii. Przetrwał. Przesyła teraz z Ameryki dziękczynne listy tym, którzy mu pomogli.

Spotkałem Komasiaka, nauczyciela, byłego kierownika szkoły w Klukowie, oficera rezerwy. "Kolego, czy my właściwie rozumiemy swoją rolę ? Czy nasze miejsce nie w lesie ? - pytałem go. Jego odpowiedź mocno utkwiła mi w pamięci. "To byłoby, drogi kolego wygodnictwo, nas na to nie stać. Nasza rola jest uczyć i wychowywać setki i tysiące Polaków, a to wymaga większego poświęcenia i ryzyka, aniżeli walka z bronią w rękach, w gromadzie, chroniąc się w bezpieczne miejsce w lesie, dokąd Niemcy nie wejdą".

Cześć pamięci tego patrioty. Zginął wkrótce potem w obozie śmierci.

Często zastanawiam się nad rolą przypadku w życiu człowieka. Przypadek decyduje o losie, o życiu. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym był w Warszawie spotkał Nowotkę, Skoniecckiego, czy Zawistowską ? To chyba przypadek zdarzył, że

Tymczasem okupanci wściekali się. Wiadomo nam było, jakie ponoszą klęski i to nie tylko na froncie. We wsi Niemcy pojawiali się coraz częściej. Kryliśmy się z żoną na polach, w zbożu, gdzie całymi godzinami leżeliśmy przywarci do ziemi, nie podnosząc głowy ponad zboże.

W nocy spaliśmy jak zające, z nawpół otwartymi oczami. Chyba już niewiele pozostało do całkowitej klęski hitlerowców. Tyle się przeżyło, niewiele pozostało, ale jakże jeszcze niepewnych, groźnych chwil.

Daleko na wschodzie, słychać było coraz wyraźniej grzmoty artylerii i bomb lotniczych, a nocą obserwowaliśmy "choinki" - wkrótce potem słychać było wybuchy bomb.

Pewnego razu nocą, kiedy stałem przed domem oparty o płot, zauważyłem skradającego się człowieka. Szedł chyłkiem, co chwilę zatrzymując się. "Ten człowiek ukrywa się" - pomyślałem. Wyszedłem naprzeciw. Był to Żyd. Wylękniony, zarośnięty, ubrany w strzępy łachmanów. Wyniosłem mu chleb i mleko. Mleko wypił, chleb schował do torby. Wskazałem mu zabudowania na kolonii. Przetrwał. Przesyła teraz z Ameryki dziękczynne listy tym, którzy mu pomogli.

Spotkałem Komasiaka, nauczyciela, byłego kierownika szkoły w Klukowie, oficera rezerwy. "Kolego, czy my właściwie rozumiemy swoją rolę ? Czy nasze miejsce nie w lesie ? - pytałem go. Jego odpowiedź mocno utkwiła mi w pamięci. "To byłoby, drogi kolego wygodnictwo, nas na to nie stać. Nasza rola jest uczyć i wychowywać setki i tysiące Polaków, a to wymaga większego poświęcenia i ryzyka, aniżeli walka z bronią w rękach, w gromadzie, chroniąc się w bezpieczne miejsce w lesie, dokąd Niemcy nie wejdą".

Cześć pamięci tego patrioty. Zginął wkrótce potem w obozie śmierci.

Często zastanawiam się nad rolą przypadku w życiu człowieka. Przypadek decyduje o losie, o życiu. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym był w Warszawie spotkał Nowotkę, Skonieckiego, czy Zawistowską ? To chyba przypadek zdarzył, że

ominęły mnie kilkakrotnie kule. Nikt nie wyszedł żywy z takiej kraksy samolotowej, z jakiej ja wyszedłem. I mógłbym tu przytoczyć przykładów wiele. Ale przytoczę jeszcze jeden: słaby szczebel drabiny złamał się pod ciężarem żandarma włażącego na strych w chacie państwa Tymińskich. Żandarm zrezygnował z dalszej próby, a my ocaleliśmy.

--- o ---

Z przerażeniem, połykając łzy, patrzałem na Tadka leżącego w trumnie. Zabili go bandyci, podszywający się pod miano partyzantów. Przyszli nocą zabrać konie. Dom państwa Piętków stał na kolonii, nawet szczekania psów nie było słychać we wsi.
"Partyzanci". Tadek zaprowadził ich do stajni. Prawdopodobnie któregoś z nich poznał. Bandyta wsadził mu lufę do ust. Kula wyrwała tylną część głowy.

Ten czternastoletni Tadzio, taki zdolny, wesoły, ten, który na lekcjach rozweselał wszystkich inteligentnymi dowcipami, ten pełen humoru Tadzio - nie żyje. Mimo, że wojna powodowała oswojenie się ludzi ze zjawiskiem śmierci, morderstwo Tadka było dla nas wszystkich wstrząsem.

W ciągu dwóch dni bandyci zostali zlikwidowani. Konie wróciły do właściciela, ale to nie wyrównało śmierci chłopca, któremu przepowiadałem wielką przyszłość.

Zniknął też bezpowrotnie jeden z młodzieńców ze wsi, nie cieszący się dobrą opinią, ale tego faktu nie komentowano.

Im bliżej było do klęski Niemców, tym bardziej narastała we mnie i chyba nie tylko we mnie - nerwowość, zaostrzała się czujność. Powiększał się też niepokój, kiedy dowiadywałem się o tajemniczym znikaniu obywateli radzieckich, ukrywających się w różnych sąsiednich wsiach.

Napięcie wzrastało do zenitu, kiedy na wschodzie słychać już było dudnienie artylerii i widać pojawiające się nocami dalekie łuny pożarów.

Większą część dni spędzałem w polu. Żona, jako kobieta nie wzbudzała tyle podejrzeń i pozostawała w domu. Tylko podczas obław, które zdarzały się coraz częściej, uciekaliśmy razem.

Szalała żandarmeria, szalało gestapo. Niemcy oczyszczali teren przed zbliżającym się frontem. Aresztowali i likwidowali wszystkich, którzy mogli przedstawiać sobą dla nich groźbę; resztę inteligencji, młodzież męską i mężczyzn w sile wieku.

Musiałem zachować spokój, opanowanie, nie mogłem się zdenerwować. Pamiętałem tę zasadę z długoletniej pracy w konspiracji, tej samej zasady przestrzegałem jako pilot. Wiedziałem, że zdenerwowanie dekonspiruje, a także powoduje niewybaczalne błędy. Wszak szereg lat chodziłem ze śmiercią pod pachą.

Trzeba było zachować spokój nie tylko zewnętrzny, trzeba było opanować się w sobie, wewnątrz siebie.

Sny. Sny pełne grozy, wyraziste i tak realistyczne, że mieszały się z rzeczywistością, a rzeczywistość stawała się snem.

Front był coraz bliżej.
To co mi pewnego ranka powiedział pan Jan, było do przewidzenia, mimo to było szokiem: żandarmeria z Klukowa odjechała. Odjechała także żandarmeria polowa. A więc znajdujemy się w strefie przyfrontowej.

Porozumiałem się z "Radą Starszych" i postanowiliśmy pobudować schrony. Przecie nie wiadomo było jaki będzie mieć przebieg walka na tym terenie. W pobliżu naszego domu wykopaliśmy dół, w którym mogło pomieścić się około czterdziestu osób. Ponieważ ziemia była gliniasta, nie trzeba było umacniać ścian, tylko na dół ułożyliśmy belki, które następnie zasypaliśmy ziemią wykopaną z dołu.

Pewnej lipcowej nocy zbudził nas hałas samochodów i głośne rozmowy. Do wsi przyjechały niemieckie tabory. Wiele samochodów, wiele też wozów ciągnionych przez konie.

Dziwne, że przed tymi Niemcami nie odczuwałem lęku.
Ale już nazajutrz rano sołtys zwołał wszystkich mężczyzn. Oczywiście poszedłem i ja. Trzeba było Niemcom nakosić seredeli i koniczyny dla ich koni. Niemcy nad nami stali, byli chyba przywykli do pilnowania swoich niewolników. Ponieważ nie bardzo radziłem z kosą, pan Lubowicki szybko się zorientował,

zabrał mi kosę, dał grabie, bym skoszoną paszę zgrabiał w kopki.

--- o ---

"Panie Szymanowski", umiera moje dziecko. Niech pan ratuje, pomoże mi, niech pan idzie ze mną do doktora i wytłumaczy mu, on mnie pyta, a ja nic nie rozumiem". Nie mogłem odmówić prośbie zrozpaczonej matki. Po zbadaniu dziecka lekarz - oficer niemiecki prosił, bym na chwilę z nim pozostał. Chciał ze mną porozmawiać. Przypuszczał, słusznie, że ja wiem więcej o aktualnej sytuacji w świecie, aniżeli on. Chciał się czegoś dowiedzieć. Czy mogłem mu ufać? Wyraźnie, choć subtelnie dał mi do zrozumienia, że przeciętny Niemiec ma dość wojny, że złą opinię o narodzie urabiają tylko niektórzy Niemcy, przede wszystkim esesmani, gestapowcy i żandarmi. Wyczuwałem, że Niemiec widział we mnie nie zwykłego nauczyciela wiejskiego. W rozmowie z nim użyłem wszystkich swoich zdolności dyplomatycznych. Musiałem być czujny.

Później miałem się przekonać, że podobną opinię i to wypowiadaną bez ogródek, wyrażają prawie wszyscy szeregowi Niemcy, z którymi rozmawiałem.

Przychodzili do mnie gospodarze z różnymi prośbami jako do tłumacza. Jednemu zabrano konie, innemu świnie, chcieli je odzyskać... Nie pomogły moje perswazje, że to są sprawy drobne, mało istotne. Ale taki nie mógł darować, że wieprza zabrali jemu, a nie jego sąsiadowi. Dlaczego tylko on ma być stratny.

I znów szok: pan major, doktor medycyny oznajmił mi, że jeżeli dostanie odpowiednie schronienie i ubranie cywilne - pozostanie. - Front wkrótce się przesunie - i on będzie wolny. "Also sprach Zarathustra" - zażartowałem.
Powiedziałem mu, że porozmawiam z Radą Starszych i dam mu odpowiedź nazajutrz. Tymczasem dowiedziałem się, że niektórych gospodarzy o to samo prosiło kilku żołnierzy - szeregowych. Rozmawialiśmy w grupie zaufanych. Sprawa była jasna. To nie mogła być prowokacja. Niemcy mieli dość nie tylko wojny, ale i Hitlera. Trzeba było im pomóc.

wszak takie fakty osłabiały siłę moralną armii niemieckiej. Następne wydarzenia zmieniły jednak nasze zamiary.

Pewnego razu pan Niemyjski, przybyły do wsi przed kilkoma dniami krewny jednego z gospodarzy, zaprosił mnie na kieliszek czystej. Dopiero po wejściu do mieszkania zauważyłem przy stole kilku oficerów niemieckich. Pan Niemyjski, który oczekiwał na mnie jako na tłumacza, nazywał mnie bezceremonialnie "profesorem". Wyczułem zaostrzenie uwagi jednego z młodych oficerów, który też zaraz zaczął mnie wypytywać zupełnie niedwuznacznie kim jestem i jaka moja tutaj rola. W międzyczasie wyszedł, za chwilę znów wrócił. Domyśliłem się o co chodzi. Kiedy opuszczałem dom, czekał na mnie podoficer, który kazał mi iść za sobą. Zaprowadził mnie na sąsiednie podwórko, gdzie stały konie. Dał mi wiadro, szczotkę i zgrzebło i nakazł czyszczenie koni. Pokazał mi, jak to się robi. Pozostawił ze mną żołnierza, którego zadaniem było pilnować mnie. Poczciwy żołnierz. Przybliżył się do mnie i niby mi pomagając powiedział, że dowódca jednostki trzyma mnie do dyspozycji gestapo, że wszystko o mnie wie. "Poczekaj, aż pójdą na obiad, wtedy uciekaj".

Chyłkiem skradając się doszedłem do swego mieszkania, powiedziałem żonie o sytuacji i wszedłem w zboże. Czołgając się dotarłem do sąsiedniej wsi. Pan Józef wiedział gdzie mnie schować. W kominie była obszerna półka, na której wędzono mięso.

Do Piętki przyjechało gestapo. Zorganizowano za mną pościg. Wzięły w nim udział wszystkie stacjonujące w okolicy wojska.

Kilkuset żołnierzy przeprowadziło szczegółową rewizję we wszystkich domach i zabudowaniach, poprzewracano wszystkie dziesiątki ustawionego żyta, przeczesano tyralierą wszystkie nieskoszone zboża, pytano o mnie wszystkich napotkanych ludzi. Później dowiedziałem się, jak pan Józef zorganizował zmylenie śladu. Otóż dał znać swoim zaufanym, aby wszyscy zgodnie twierdzili, jak widzieli mnie uciekającego na wschód. Niemcy w pierwszej kolejności pytali o to moich gospodarzy i moją żonę.

Otrzymali zgodną odpowiedź: "Przecie wyście go zabrali, to my powinniśmy Was pytać, gdzie on jest".

Późnym wieczorem przemknąłem się na kolonię, do pana Zygmunta. Pomagałem mu następnie przy żniwach, byłem jednym z pracujących na polu, dla nikogo nie stwarzałem pozorów ściganego.

A front tymczasem przybliżał się już z godziny na godzinę. Odetchnąłem, kiedy żona powiadomiła mnie przez ucznia, że Niemcy stacjonujący w Piętkach już się wynieśli i że już mogę wracać.

Wieś zajęta była przez nowe oddziały - przez artylerię. A więc linia frontu była już tylko o kilkanaście kilometrów.

Umyłem się, upodobniłem do człowieka. Rozmowy z ludźmi były podniecone, urywane, i tak wszyscy się rozumieliśmy. Artyleria ustawiona obok wsi rozpoczęła kanonadę. Wszedłem do schronu sprawdzić jego stan. W schronie była woda, należało ją usunąć. Trzeba było przynieść wiadro. Wyszedłem. Naprzeciwko mnie stał rozkraczony gestapowiec z automatem gotowym do strzału. Ruchem głowy dał mi znać, że mam iść przed nim.

A więc to koniec ! A tak blisko było wyzwolenie. Wiele przeżywałem momentów, kiedy znajdowałem się wobec śmierci. Dziesiątki razy cudem uniknąłem jej jako pilot. Przeżyłem więzienie sanacyjne. Nosiłem na sobie wyroki śmierci.Strzelano do mnie z odległości kilku kroków. Bandy organizowały zasadzki - byłem w rękach gestapo. Przeżyłem Vernichtrauslager - obóz śmierci. Zawsze w takich momentach byłem skupiony, pozornie spokojny, mimo napiętych nerwów.

Pod silną eskortą samochód oddalał się od frontu. Wiedziałem dokąd jadę. Znane mi były więzienie łomżyńskie. Tam wieloletni wyrok odsiadywał mój brat, Roman, zamęczony przez faszystów na śmierć, tam siedzieli nasi najbliżsi towarzysze z pracy w KPP: Stefan Wojtanis, razem ze mną skazany na śmierć, rozstrzelany przez gestapo, Lutek Żamojtel - więziony w Dachau, Jaś Raulin - późniejszy burmistrz Szczuczyna, zmarł wkrótce po wyzwoleniu, Henryk Sobolewski - zamęczony w

obozie Dachau, Motek Rubinsztajn, Josek Markusfeld rozstrzelani w pierwszym dniu pobytu Niemców i wielu innych, tych, którzy walczyli o sprawiedliwość społeczną - nie czekając na nagrody.

W więzieniu panował nastrój podniecenia. Dla tych więźniów front znajdował się tylko o sześćdziesiąt, a dla mnie aż o sześćdziesiąt kilometrów.

Kiedy nas rozwalą ? A może wykorzystają do roboty przy kopaniu rowów przeciwczołgowych ?

Więźniowie byli różni, reprezentowali różne grupy społeczne i różne kategorie moralności. To nie byli ludzie, z którymi można było coś zrobić.

Godzinami patrzałem w sufit ciemnej celi, celi,która nie była mi obca. Nigdy jednak nie przeżywałem tego tak głęboko. A przecie i wtedy oczekiwałem wykonania wyroku. Ale wtedy inna była sytuacja. Była beznadziejna. A teraz zbliżało się wyzwolenie, zbliżała się wolność taka, o jakiej marzyłem, o jaką walczyłem. Czy znów cudem ocaleję ? Czy znajdę się wśród swoich, czy zobaczę swoją żonę, jedyną, bliską mi osobę, która pozostała przy życiu ?

Znane mi kroki wartownika, zgrzyt klucza w zamku. "Hinaus mit ihm". Kolbą zostałem pchnięty ku wyjściu. Na podwórku znajdowało się kilkuset więźniów. Podwórko otoczone było żandarmerią. W jednym miejscu zauważyłem dziurę w murze i to wielkości wystarczającej do przeczołgania się. Ale nad dziurą stał żandarm, jak inni - z lufą karabinu skierowaną na nas.W przeciwległym końcu podwórka rozległy się strzały. Żandarmi poganiali nas w tym kierunku. Udając kulawego wlokłem się ostatni. Skręciłem w kierunku żandarma, stosjącego nad otworem. Był to stary człowiek - o twarzy rolnika. Zatrzymałem się. "Zostawiłem w domu chorą żonę i dziecko" - zacząłem, a chciałem dodać, że losy wojny nie zmienią się jeśli będę rozstrzelany. Ale żandarm nie pozwolił mi dokończyć. Może miał syna w moim wieku, może nawet podobnego do mnie, może miał dość wojny, może było mu wszystko jedno. Odwrócił się ode mnie i krzyknął, raczej syknął: "Entspringe sofort, schnell! ".

Przecie to wszystko jedno, czy będę zastrzelony wcześniej, czy parę minut później. Skoczyłem w dziurę, następnie przeczołgałem się przez podwójne zasieki z kolczastego drutu; czołgałem się zwinnie jak jaszczurka - przez łan jęczmienia.

Dwie kobiety z dwu domków podbiegły do mnie naraz. "Panie, niech pan zajdzie do mnie, zaszyję panu ubranie". Wtedy zauważyłem że moje szare więzienne spodnie i bluza są w strzępach, poszarpane kolczastym drutem. Druga kobieta zaproponowała mi jedzenie. Poprosiłem o igłę i nici i kawałek chleba. Między zabudowaniami, ogrodami, następnie polami uciekałem na wschód. A w więzieniu słychać wciąż było strzały. Ginęli ludzie. Życie przedstawiało tak małą wartość. A jednocześnie życie było tak bliskie i drogie.

Za mną było piekło więzienne, przede mną piekło frontowe. Miałem do wyboru: albo przedzierać się przez front,albo gdzieś się zamelinować i czekać aż front przejdzie. Wybrałem to drugie.Znałem te strony, wiedziałem o lasach Czerwonego Boru. Muszę tam się dostać. Ale i to nie było łatwe. Niemców wszędzie było pełno i na drogach i we wsiach i na otwartych polach, gdzie budowali umocnienia, okopy i rowy przeciwczołgowe.

I znów jak dzikie zwierzę, kierowane instynktem, ukrywałem się przed ludźmi, przed wszystkimi ludźmi, nie tylko Niemcami w mundurach.

Z dala, w jednej ze wsi zobaczyłem wojska niemieckie. Wiedziałem, że gestapo i żandarmeria operowała poza terenami zajętymi przez wojsko. Wojska bałem się mniej. Kiedy się ściemniło - podkradłem się do upatrzonej uprzednio, stojącej na skraju wsi stodoły, wdrapałem się przez szparę pod dachem do środka, zagrzebałem się w siano - i zasnąłem. Byłem przynajmniej przez noc bezpieczny. Względnie bezpieczny.

Obudziłem się, kiedy było już widno. Postanowiłem czekać do następnej nocy. Byłem głodny. Ale umiałem znosić głód. Są chwile, które tworzą wieczność. Jedna doba w stodole, obok Niemców - była dla mnie wiekiem.

Szedłem w ciemną noc czujnie, skupiając w uwadze wszystkie swoje zmysły. Wytężony słuch, zaostrzony wzrok, a nawet

wyczucie zapachu - ostrzegały o niebezpieczeństwie. Nie mogłem zbliżyć się do zabudowań, wszędzie wyczuwały mnie psy, które głośnym szczekaniem alarmowały całą wieś.

Gryzłem brukiew i ta brukiew była moim jedynym pożywieniem przez szereg dni. Piłem wodę z napotkanych strumyków. Spałem jak zając w dziesiątkach zboża. Trząsłem się z zimna.

I wreszcie upragniony las. Tu poczułem się bezpieczny. I tu spotkałem się z towarzyszami niedoli. Grupa zarośniętych mężczyzn, kilku uzbrojonych w karabiny, pozostali bez broni. "Choć bracie do nas". Nie pytali nawet kim jestem. Widzieli, że z więzienia.

"Dostaniemy się na skraj lasu, od strony frontu" - prowadził nas "dowódca".

Zatrzymaliśmy się na skraju lasu, za którym zaledwie o kilkaset metrów rozciągały się linie obronne niemieckie.

Nie zapomniany widok rozciągał się przed nami wieczorem i nocą. Na całym horyzoncie łuny pożarów, niebo przeszywane jak paciorkami długimi seriami kolorowych pocisków artylerii przeciwlotniczej. Grzechot karabinów maszynowych, huk artylerii i warkot samolotów. Patrzyliśmy na to ukryci za podszyciem leśnym. Tuż przed nami stało zboże w dziesiątkach, część nie była skoszona. Czołgając się - przyciągnęliśmy do lasu sporo snopków żyta. Słoma miała być naszym posłaniem, a ziarno pożywieniem. Postanowiliśmy wykopać dołki, każdy dla siebie, a nie dużego dołu dla wszystkich, w ten sposób chcieliśmy zapobiec wspólnej mogile. Pociski rozrywały się między nami. Ale to było lepsze, aniżeli gestapo, czy żandarmeria polowa, które tu już nie sięgały. Dołki wygrzebywaliśmy między korzeniami, pod sosnami, w ten sposób powstawały borsucze jamy, nie grożące zawaleniem. W takich "mieszkaniach" mieliśmy spędzić szereg dni. A przecie front mógł się ustalić tu na tygodnie lub miesiące.

Tłumaczyłem swoim towarzyszom przemówienia płynące nocami z nieba do żołnierzy niemieckich. Były to nagrania przemówienia generałów niemieckich będących w niewoli radzieckiej przekazywane przez megafon ~~ton~~ z "Kukuruźnika". Robiło to niesamowite wrażenie.

Nocami zachowywaliśmy się ostrożnie, nauczeni doświadczeniem. Opodal, gdzieś na drzewie siedział snajper niemiecki z karabinem maszynowym, zsynchronizowanym z aparatem podsłuchowym. Jeżeli w lesie usłyszał hałas łamanej gałęzi, natychmiast posyłał w to miejsce - serię. Jeżeli więc ktoś z nas wlazł na suchą gałęź, która trzasła - natychmiast odskakiwał w bok. A Niemiec strzelał bardzo celnie.

Pewnego wieczora zjawiły się u nas kobiety. Szukały swoich mężów i synów. Miały kosze żywności. Dostaliśmy od nich dużo solonego mięsa. Wszystko to natychmiast znikło w naszych żołądkach. Ale już wkrótce potem odczuliśmy pragnienie. Pragnienie to potęgowało się z minuty na minutę. W pobliżu lasu w odległości około trzystu metrów stał dom, a obok niego studnia. "Kto pójdzie po wodę?" "Ja" - odezwał się młody, może szesnastoletni chłopak. Zabrał ze sobą kilka butelek, jakie mieliśmy i jakiś garnek - i ostrożnie ruszył ku zbawiennej wodzie. Nie uszedł daleko. To artyleria radziecka, śledząca na pewno każdy szczegół - dała ognia. Chłopiec upadł. Słychać było jęki. Wówczas wyskoczyłem błyskawicznie z lasu do chłopca, zarzuciłem go sobie na plecy i ruszyłem spowrotem. Obok mnie gęsto rozrywały się pociski. Ale dobiegłem. Chłopiec miał rozerwany pośladek, krew szybko spływała. Opatrzyliśmy go, jak umieliśmy i umieścili w mojej norze, była najwygodniejsza.

Po wodę poszedłem sam, już nocą. Trzeba było dużo wody i do picia i do zmywania rany chłopca. Odczepiłem od studni przywiązane drutem wiadro.

Rano ruszyliśmy krawędzią lasu na "zwiad". Znaleźliśmy około kilometra od nas dwie, przytulone do siebie nieprzytomne dziewczyny. Niemcy dokonali na nich zbiorowego gwałtu. Po odzyskaniu przytomności - okazały się nawpół obłąkane, patrzały przerażonymi oczyma... Później płakały i płakały. Nie zdolne były iść. Pomogliśmy im, dołączyły do naszej grupy.

Pewnego razu, kiedy szliśmy lasem, naprzeciwko nas zauważyliśmy grupę Niemców. I oni nas spostrzegli jednocześnie. Stanęli jak wryci. A potem zaczęli schodzić z drogi, w kierunku skraju lasu. A my szliśmy dalej. Widziałem ich przerażone twarze

Pierwszy raz w życiu widziałem przestraszonych Niemców. Później widzieliśmy, jak pędzili z lasu, jakby ich ktoś gnał. Tak, teraz zobaczyłem, jak Niemcy bali się partyzantów.

Następnego ranka pojawiły się w lesie znów kobiety "U nas już sowiety". Niewiarygodne! Niemcy wynieśli się tak sprawnie i cicho, że myśmy tego nie usłyszeli.

Kiedy wyjrzeliśmy z lasu - zobaczyliśmy niesamowity obraz. Szły ku nam wojska radzieckie. Żołnierze szli już nie tyralierą, a prawie tłumem, były ich tysiące. Dużo było w ubraniach cywilnych, to z partyzantki. Na przedzie minerzy - rozminowujący teren. Min Niemcy pozostawili tysiące. Co parę kroków.

My szliśmy im na przeciw. Doszliśmy do wsi. Tu w chacie, do której nas zaproszono, zobaczyłem siebie w lustrze. Nie,to chyba nie ja! W lustrze zobaczyłem brodatego partyzanta, ze wzrokiem dzikim, bystrym i jakby strasznym. Teraz dopiero zrozumiałem przerażenie Niemców tam, w lesie. Jakże tryb życia wpływa na wygląd zewnętrzny.

Podniecenie odebrało mi mowę, byłem jakby obłąkany. I radość może zabijać.

III - Zakończenie

Sierpniowy upał zwarzył przydrożne trawy, nieznośny smród rozkładających się trupów zatruwał powietrze, w pogodne niebo unosiły się czarne dymy pożarów.

Zszedłem z drogi, wnurzyłem się aż po ramiona w zboże dojrzałe, złote i ciche pod słoneczną ulewą... Szorstkie kłosy chyliły się do rąk, dotykały twarzy. Narastało we mnie pragnienie, by objąć tych kłosów jak najwięcej i przycisnąć do wychudzonej piersi, do spragnionych warg...

Pomieszanie uczuć, które nie mieściły się w ramach codzienności, nawał myśli, co jak wielkie, zabłąkane ptaki szamotały się we mnie i rwały - stwarzały szczególny stan bliski obłąkania.

Radość i niedowierzanie, uniesienie i niepokój, zapał i troska splatały się ze sobą w bezładzie, w chaosie wzruszeń, przeczuć, doznań.

Upajałem się wolnością, rozumiałem na nowo zapach dojrzałego zboża, poznawałem rozkosz zieleni i błękitu, nasycałem się widokiem własnych stóp idących po wolnej ziemi.

--- o ---

W dali zamierały powoli odgłosy artyleryjskiego ognia. Zapadał zmierzch.

Po wielu godzinach wędrówki dobiegało mnie szczekanie psa. Chciwe nozdrza przeczuły wpierw nim zdołały uchwycić nikłą woń dymu. Była to inna woń niż ta, która towarzyszyła mi dotychczas; kryło się za nią domowe ognisko, chleb i ludzie. Chyba nie potrafiłbym sprecyzować jasno, której z tych rzeczy najbardziej pragnąłem w tej chwili...

Szedłem ku wolnej Ojczyźnie.

--- o ---